



Zane Grey

OSTATNI MIESZKANIEC RÓWNIN



28

ISBN 978-83-66268-26-5

**BIBLIOTEKA ANDRZEJA
SZLAKIEM PRZYGODY**

Zane Grey

**OSTATNI MIESZKANIEC
RÓWNIN**



Pearl Zane Grey urodził się 31 stycznia 1872 roku w Zanesville w stanie Ohio – w mieście, którego współzałożycielami byli jego przodkowie ze strony matki, a zmarł w Altadena, w Kalifornii, 23 października 1939 roku.

Był jednym z najpopularniejszych i najwyżej ocenianych autorów powieści o Dzikim Zachodzie, współtwórcą gatunku literackiego zwanego dziś westernem. Jego dorobek twórczy ocenia się na około 90 książek (głównie powieści), z których ponad dwie trzecie to westerny. Pozostawił po sobie wiele książek dla młodzieży, w tym biografię młodego Jerzego Waszyngtona, publikacje poświęcone swoim wielkim pasjom: bejsbolowi – w który grywał w czasie studiów, a później przez pewien czas półzawodowo – oraz wędkarstwu, a także liczne zbiory opowiadań.

Miłośnik dzieł J.F. Coopera i D. Defoe, a także zeszytowych powieści przygodowych, studiował stomatologię, ale głównie po to, by uzyskać stypendium sportowe. Praktykę dentystyczną porzucił potem na rzecz pisarstwa, podobnie imię Pearl. Debiutował wydaną w 1903 roku powieścią historyczno-przygodową *Betty Zane*, otwierającą trylogię o jego przodkach z początków Stanów Zjednoczonych. Wydał ją własnymi siłami po odrzuceniu przez wydawnictwo Harper & Brothers.

Przełom w jego twórczości nastąpił dopiero w 1912 roku, gdy to samo wydawnictwo opublikowało, nie bez oporów redaktora naczelnego, *Jędrzców krainy purpurowej bylicy*. Powieść okazała się bestsellerem – po dziś dzień należy do najpopularniejszych dzieł Greya. Harper wydał też wcześniejsze jego książki, w tym *Ostatni mieszkaniec równin*, a kariera Greya nabrała niepokonanego rozpędu. Dziś uchodzi za jednego z pierwszych amerykańskich pisarzy milionerów. Doceniono nie tylko umiejętność snucia fascynujących opowieści, ale i dbałość o realia, wiążącą się z jego częstymi podróżami w poszukiwaniu inspiracji.

Jego westerny doczekały się 46 pełnometrażowych ekranizacji i 31 krótszych. Nie był to jedyny związek Zane'a Greya z filmem. W roku 1919 powołał własną wytwórnię filmową. Sprzedana jakiś czas potem, stała się częścią podwalin wielkiego Paramountu.

W Polsce w latach międzywojennych i tuż po wojnie ukazało się w sumie kilkanaście przekładów powieści Zane'a Greya, głównie nakładem wydawnictwa M. Arct. W 1951 roku jego książki zostały objęte zapisem cenzury, nakazującym także niezwłoczne wycofanie ich z bibliotek. Powracać tam i do księgarni zaczęły dopiero w 1989 roku, w postaci publikacji opartych na wydaniach przedwojennych. Dotyczyło to jednak tylko kilku tytułów, i to niekoniecznie tych najciekawszych lub najlepszych.

Zane Grey



OSTATNI MIESZKANIEC
RÓWNIN

Przełożyła i przypisami opatrzyła Joanna Hacking

**Sześćdziesiąta dziewiąta publikacja elektroniczna
Wydawnictwa JAMAKASZ**

Dwudziesty ósmy tom serii:
„Biblioteka Andrzeja – Szlakiem Przygody”

Tytuł oryginału angielskiego:
The Last of the Plainsmen

© Copyright for the Polish translation by Joanna Hacking, 2020

17 kolorowych ilustracji: Dariusz Kocurek
© Copyright for the cover and inside illustrations by
Dariusz Kocurek, 2020

Redaktor serii: Andrzej Zydorczak

Redakcja: Elżbieta Rogucka
Korekta: Andrzej Zydorczak
Projekt okładki: Barbara Linda
Konwersja do formatów cyfrowych: Mateusz Nizianty

Wydanie I
© **Wydawnictwo JAMAKASZ, Ruda Śląska 2020**

ISSN 2449-9137
ISBN 978-83-66268-26-5

Rozdział I

Pustynia Arizony

Rewnego popołudnia rozbiliśmy obóz na odległym, spieczonym od słońca pustkowiu stepu w pobliżu kępy uschniętych drzew piniowych¹. Zimny, pustynny wiatr nadciągnął wraz z nadchodzącym szybko zmrokiem. Nawet mormoni², którzy pomagali odnaleźć nam szlak poprzez dryfujące piaski, o zmierzchu zapomnieli o śpiewie i modlitwie. Nasza wyczerpana i cicha grupka zgromadziła się wokół ogniska. Kiedy z samotnej i melancholijnej ciemności mroku wyłoniło się jak cienie kilku wędrujących Indian Nawaho³, powitaliśmy ich nadzieście z radością. Byli dobrze usposobionymi Indianami, chętnymi do wymiany koca lub bransolety, a jeden z nich, wysoki i wychudzony człowiek, wyglądający na wodza, znał trochę angielski.

– *How*⁴ – powiedział głębokim, piersiowym głosem.

– Hello, Noodlecoddy – powitał go Jim Emmett, mormoński przewodnik.

¹ *Drzewo piniowe* – gatunek drzewa z rodziny sosnowatych; drzewo iglaste z gęstą, szeroką koroną, starsze okazy przybierają pokrój parasolowaty; nasiona po obraniu z łusek, są jadalne i znane jako orzeszki piniowe.

² *Mormoni* – wspólnota religijna założona w roku 1830 w USA przez Josepha Smitha; na doktrynę mormonów składają się wątki chrześcijańskie, judaistyczne i objawienia zawarte w *Księdze Mormona*; mormoni są zrzeszeni w Kościele Jezusa Chrystusa Świętych w Dniach Ostatnich; najliczniejsi w USA (Utah), z główną świątynią w Salt Lake City.

³ *Nawahowie* (Nawaho, ang. Navajo Nation, w języku navajo: Naabeehó Dine'é) – największe plemię indiańskie Ameryki Północnej liczące ponad 330 tys. osób (wg danych statystycznych z 2010 roku). Większość z nich (ok. 173 tys.) zamieszkuje rezerwat położony na terenie stanów: Arizona, Nowy Meksyk oraz Utah, będący zarówno pod względem liczby mieszkańców, jak i powierzchni największym rezerwatem Indian w USA. Podczas II wojny światowej meldunki kodowane przez szyfrantów z plemienia Nawahów (a także Indian z kilku innych plemion) za pomocą nieznanego Japończykom własnego języka pozwoliły Amerykanom na zachowanie tajemnicy kluczowych operacji wojskowych na Pacyfiku.

⁴ *How* – indiańskie powitanie.

– Ugh!¹ – mruknął Indianin.

– Wielka biała twarz – Buffalo Jones, wielki wódz – człowiek-bizon² – przedstawił Jonesa Emmett.

– *How* – odpowiedział z godnością Nawaho, wyciągając dłoń w przyjacielskim geście powitania.

– Jones – wielki biały wódz – chwytając bizona – wiąże je mocno – ciągnął Emmett, wykonując ruchy ramieniem, jakby kręcił lassem.

– Nieduże... kupa małe bizona – powiedział Indianin, robiąc dłonią gest na wysokości kolan i uśmiechając się szeroko.

Jones podniósł się. Dobrze zbudowany, krzepki, stał w pełnym świetle ogniska. Miał ciemną, opaloną i nieprzenikloną twarz, surowe usta i kwadratową szczękę, bystre oczy, półprzymknięte od wieloletniego przeszukiwania rozległych równin i głębokie bruzdy marszczącego jego policzki. Dziwny spokój spowijał jego osobę, spokój wypracowany długim, pełnym przygód życiem.

Podniósł obie muskularne ręce w stronę Nawaho, i rozcapierzył palce.

– Chwytam bizona – dużo dużych bizonów – w jedno słońce.

Indianin wyprostował się, ale nadal uśmiechał się przyjacielsko.

– Ja wielki wódz – zwrócił się do Jonesa. – Ja iść daleko na północ – Kraina Małych Patyków – *Naza!*³ *Naza!* Związywać piżmowół⁴; związywać Białego Manitou z Wielkiego Jeziora Niewolniczego⁵! *Naza! Naza!*

¹ *Ugh* – częściej *howgh*, rozpowszechnione w literaturze (np. Cooper, May) słowo rzekomo używane przez Indian różnych plemion jako powitanie lub potwierdzenie („rzekłem”), opisane w tym znaczeniu przez francuskiego misjonarza św. Jana de Brébeuf (1593-1649), działającego wśród Huronów.

² *Bizon* (*Bison*) – rodzaj dużych ssaków wołowatych charakteryzujących się krótką, szeroką głową, krótką szyją i wysokim kłębem; owłosienie przedniej części ciała jest dłuższe; rodzaj obejmuje gatunki żyjące współcześnie: bizon amerykański (*Bison bison*), największy obecnie ssak Ameryki Północnej oraz żubr europejski (*Bison bonasus*).

³ *Naza* – Wielki Niewolnik, Gwiazda Polarna, Duch Północy, Północny Wiatr, Zorza Polarna, bóg Piżmowół [przyp. Z. Greya].

⁴ *Piżmowół* (wół piżmowy, *Ovibos moschatus*) – ssak z rodziny krętorogich; dł. do 2,5 m, wys. w kłębie ok. 1,5 m; sierść ciemna, bardzo długa; spotykany w północnej części Kanady i na Grenlandii; mięso o zapachu piżma.

⁵ *Manitou* (także *Manitu*) – w wierzeniach Indian tajemnicza siła przenikająca całą przyrodę; przejawami tej siły są konkretne zjawiska przyrody; Indianie nie wierzyli

- Nie! – odparł gwałtownie dziki.
- Tak – zaprotestował Jones, poważnie kiwając głową.
- Nie! – odpowiedział głośniejsz Nawaho, podnosząc swoją ciemną głowę.
- Tak! – krzyknął Jones.
- WIELKIE KŁAMSTWO! – zagrzemiał Indianin.

Wybuchli śmiechem, a Jones dołączył się do ogółu. Indianin dosadnie wyraził ten sam sceptycyzm, z którym ja spotkałem się już w Nowym Jorku, tylko delikatniej sugerowanym i wyjątkowo rzadko, ale który w miarę posuwania się na zachód, gdy napotykałiśmy na farmerów, poszukiwaczy i kowbojów, przybierał na sile. Jednak te kilka osób, które miałem szczęście spotkać, osób, które naprawdę znały Jonesa, rozwiało zasiane w nim wątpliwości i złagodziło poczucie ośmieszenia. Przypomniałem sobie okaleczonego starego weterana z równin, który przemawiał do mnie z właściwą na Zachodzie bezpośredniością.

– Słuchaj młody przyjacielu, doszły mię słuchy, żeś nie mógł przedostać się przez kanion z powodu śniegu na północnej krawędzi. Szczęściarz z ciebie. Teraz wal na Nowy Jork, i nie zatrzymuj się! Nigdy nie zmagaj się z pustynią, a już na pewno nie z mormonami. Oni mają wodę zamiast mózgu, gorsi od tej swojej religii. Z Flagstaff¹ do farmy Jonesa będzie z dwieście pięćdziesiąt mil², i tylko dwa wodopoje po drodze. Znam tego faceta – Buffalo Jonesa. Poznałem go dawno temu, w latach siedemdziesiątych, kiedy to robił te swoje popisy z łapaniem na lasso i przez nie stał się sławnym poszukiwaczem bizonów. Słyszałem o tej jego szaleńczej wyprawie na Jałowe Ziemie³ w poszukiwaniu wołów pizmowych. Mogę się tylko domyślać, co on będzie wyprawiał w Siwash. Będzie ganiał za kuguarami – o pewno, że będzie – i patrzył jak skaczą. Jones zła-

zwykle jedno wejście, zakrywane skórą zwierzęcą, plecioną matą lub derką; zwykle nie ma podłogi, na ziemi bywają rozłożone gałęzie jodłowe, skóry lub futra; na środku znajduje się miejsce na ognisko; nazwa pochodzi z języka algonkin.

¹ *Flagstaff* – miasto w Stanach Zjednoczonych, w północnej części stanu Arizona.

² *Mila* – jednostka długości; tu: mila lądowa równa 1,609 km.

³ *Jałowe Ziemie* (ang. Barren Lands) – region w północnej Kanadzie; tundra.

pałby na łąso i związał samego diabła, gdyby tylko łąna wytrzymała i nie spłonęła. Och! On jest piekielnie dobry w chwytaniu na łąso, a jeszcze większe piekło zgotuje ludziom, koniom i psom.

To wszystko, co słusznie zasugerował mój przyjaciel, spowodowało jedynie, że jeszcze bardziej chciałem wybrać Jonesa. O ile kiedyś byłem zainteresowany starym łowcą bizonów, to obecnie wzbudzał moją fascynację. A teraz byłem z nim na pustyni, i widziałem go takim, jakim był, prostym i cichym człowiekiem, który wpasowywał się idealnie w góry, ciszę i długie dystanse podróży.

– Trudno w to wszystko uwierzyć, w te historie o Jonesie – zauważył Judd, jeden z ludzi Emmetta. – Jak człowiek mógłby mieć taką siłę i nerwy? A czy to nie okrutne, żeby trzymać dzikie zwierzęta w niewoli? Czy to nie jest przeciwko Bożemu Słowu?

Szybko, jak tylko był w stanie mówić, Jones zacytował: *Potem rzekł Bóg: Uczynimy człowieka na obraz nasz, podobnego do nas i niech panuje nad rybami morskimi i nad ptactwem niebios, i nad bydłem, i nad całą ziemią, i nad wszelkim płazem pełzającym po ziemi*¹.

– Niech panuje nad bydłem i nad całą ziemią! – powtórzył Jones, a jego donośny głos poniósł się w dal. Zacisnął swoje ogromne pięści i szeroko rozpostarł swoje długie ramiona. – Niech panuje! Tak mówi Słowo Boże!

Czuło się od niego moc i siłę. Nagle rozluźnił się, opuścił ramiona, i znów ogarnął go spokój, ale przecież pokazał im blask tej wielkiej, dziwnej i pochłaniającej jego życie pasji.

Raz opowiedział mi, jak będąc chłopcem, naraził na niebezpieczeństwo swoje kończyny i szyję, aby złapać wiewiórkę czarną², jak trzymał kureczowo to małe, złośliwe zwierzątko, choć gryzło go w rękę, jak nigdy nie doświadczył zabaw wieku chłopięcego. Podczas gdy młodzieńcy z małej wioski w Illinois³ grali i bawili się, on włóczył

¹ *Księga Rodzaju 1,26* – Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu; Towarzystwo Biblijne w Polsce, Warszawa 1999.

² *Wiewiórka czarna (Sciurus niger)* – największy gatunek wiewiórki nadrzewnej (40-70 cm), żyjący w Ameryce Północnej.

³ *Illinois* – stan w Stanach Zjednoczonych, leżący w części regionu nazywanego regionem Wielkich Jezior.

się po preriach, albo po leśnych wzgórzach, albo obserwował norkę susła. Ten ówczesny mały chłopiec był jakby ojcem tego obecnego, dorosłego. Na sześćdziesiąt długich lat zawładnęła nim nieprzemijająca pasja, aby panować nad dzikimi zwierzętami i zamieniła jego życie w niekończącą się gonitwę.

Nasi goście, Nawahowie, opuścili nas wcześniej i zniknęli cicho w mrokach pustyni. Tymczasem my zanurzyliśmy się ponownie w ciszę, przerywaną jedynie cichym, monotonnym śpiewem modlącego się mormona. Nagle psy gończe zjeżyły się, a stary Moze, kąśliwy i agresywny pies, podniósł się i zaczął szczekać na realnego lub urojonego pustynnego włóczęgę, czy może drapieżnika. Ostra komenda wydana przez Jonesa spowodowała, że Moze przykucał, a reszta psów skupiła się razem.

– Lepiej uwiąż psy – zasugerował Jones. – Kojoty¹ zbiegają się tu ze wzgórz.

Ogary były moim oczkiem w głowie, lecz Jones odnosił się do nich z niemalą pogardą. Nie było w tym nic dziwnego, bo ten kwintet długouchych psów wyprowadziłyby z równowagi i świętego. Stary Moze był psem gończym z Missouri², którego Jones nabył w stanie budzącym wiele wątpliwości, i pies zestarzał się, tropiąc szopy³. Był czarno-biały, posiwiasty i z bliznami od walk. I jeśli kiedykolwiek jakkolwiek pies mógłby mieć złe spojrzenie, to właśnie Moze. Machał ogonem w taki szczególny sposób: nieokreślony, dwuznaczny, jakby zdawał sobie sprawę ze swojej brzydoty i wiedział, że miał małe szanse na pozyskanie przyjaciół, ale wciąż miał nadzieję i był chętny. Jeśli o mnie chodzi, to pierwszy raz, gdy zobaczyłem ten przejaw dobrego serca pod jego szorstką powłoką, zdobył mnie na zawsze.

¹ *Kojot* (kojot preriowy, kujot, wilk preriowy Ameryki Północnej, *Canis latrans*) – gatunek drapieżnego ssaka z rodziny psowatych (*Canidae*) o wyglądzie pośrednim między małym wilkiem i szakalem; ma bardziej krępą budowę, krótszą szyję i ostrzejszy pysk niż wilk europejski; zamieszkuje obszary od Alaski do Meksyku.

² *Missouri* – stan w Stanach Zjednoczonych, leżący na obszarze Wielkich Równin; przez stan płyną dwie duże rzeki, Missisipi i Missouri.

³ *Szop prac* (*Procyon lotor*) – drapieżny ssak z rodziny szopowatych; dł. ciała 40-65 cm, ogona 20-40 cm, masa nawet do 28 kg; ubarwienie od szarego po brązowe, z czarnymi pręgami biegnącymi od oczu na policzki; pożywienie przed zjedzeniem płucze w wodzie; zamieszkuje Amerykę Północną; hodowany jako zwierzę futerkowe.

Gdyby chciał opowiedzieć o zaniedbaniu i opuszczeniu, jakiego doświadczył Moze aż do chwili obecnej, zajęłoby to więcej czasu, niż historia całej wyprawy. Ale wszystkie te zdarzenia ukształtowały jego charakter, i faktem jest, że nawet jeśli jego przodkowie nigdy nie zdobyli żadnych nagród, to przynajmniej przekazali mu w genach walkę. W Flagstaff przywiązaliśmy go łańcuchem na podwórzu stajni. Następnego ranka znaleźliśmy go wiszącego po drugiej stronie prawie ośmiostopowego płotu. Zdjęliśmy go, pewni, że będziemy mieli przykry obowiązek pochowania go, ale Moze otrząsnął się tylko, zamachał ogonem i rzucił się na psa stajennego. Właściwie to walka była jego mocną stroną. Pokonał wszystkie psy w Flagstaff, a kiedy zajadłe i żądne krwi ogary przybyły z dalekiej Kalifornii¹, trzy z nich od razu położył na łopatki, i podporządkował sobie szczeniaka jednym wściekłym warknięciem. Jego koronne osiągnięcie spowodowało, że nawet niewzruszony zwykle Jones otworzył usta ze zdumienia. Zabraliśmy ze sobą Moza do El Tovar² nad Wielkim Kanionem³, a ponieważ niemożliwym było przedostanie się na Północną Krawędź⁴, zostawiliśmy go z jednym z ludzi Jonesa, imieniem Rust, który pracował na szlaku Kanionu. Rust miał odczekać dwa tygodnie, po czym przywieźć Moza do Flagstaff. Przywiózł go trochę przed czasem i odetchnął z ulgą, że pozbył się ciężaru. A potem opowiadał różne dziwne historie, z których najbardziej uderzającą była ta, jak Moze zerwał się z łańcucha, rzucił się do wzburzonej, rozszalałej rzeki Kolorado⁵, i próbował płynąć tuż powyżej straszliwych

¹ *Kalifornia* (ang. California) – stan w Stanach Zjednoczonych, leżący na zachodnim wybrzeżu USA, nad Oceanem Spokojnym.

² *El Tovar* (ang. El Tovar Hotel) – hotel usytuowany dokładnie na południowej krawędzi Wielkiego Kanionu w Arizonie, w USA.

³ *Wielki Kanion Kolorado* (ang. The Grand Canyon) – głęboki jar w środkowym biegu rzeki Kolorado, położony na wyżynie o tej samej nazwie, w północnej części stanu Arizona o dł. 446 km; powstał w wyniku erozji rzeki, która doprowadziła do rozcięcia powierzchni wyżyny złożonej ze skał pamiętających jeszcze czasy mezozoiku, paleozoiku, a nawet prekambriu.

⁴ *Północna Krawędź* (ang. The North Rim) – północna krawędź Wielkiego Kanionu Kolorado.

⁵ *Rzeka Kolorado* – rzeka w Ameryce Północnej, płynąca przez stany: Kolorado, Utah, Arizona, Nevada, Kalifornia oraz przez terytorium Meksyku; dł. 2330 km.

Bystrzy Sockdolager¹. Rust i jego współpracownicy patrzyli, jak pies, walcząc o życie, znika w wzburzonym wirze żółtej wody, i słyszeli jego skowyt w huczącym ryku wodospadów. Jedynie ryba mogłaby przeżyć w tych wodach; jedynie ptak mógłby wdrapać się po tych prostopadłych, gładkich ścianach. Ale tej nocy, kiedy mężczyźni dotarli kolejką linową, Moze już czekał na nich i witał merdaniem ogona. Przepłynął rzekę i wrócił!

Co do reszty czterech podpalanych, postawnych psów gończych, nazwałem ich: Don, Tige, Jude i Ranger. Z pomocą perswazji udało mi się ustanowić pewien rodzaj rodzinnej relacji pomiędzy nimi a Mozem. Tej nocy uwiązałem psy, ale najpierw obmyłem i posmarowałem maścią ich poranione łapy. Moza puściłem wolno, bo stawał się nerwowo i drażliwo, gdy się go ograniczało.

Mormoni, ciemne postacie przykryte kocami, leżeli na piasku. Jones wpełznął pod swój koc, a ja oddaliłem się nieznacznie od dogasającego ogniska, i zwróciłem się ku północy, gdzie rozciągała się pustynia, tajemnicza i nieskończona. Jakże była podniosła i nieruchoma! Wciągnąłem do płuc haust zimnego powietrza i nagle zdrząłem, bo doznałem bliżej nieokreślonego uczucia. Coś tam było, daleko na północy. To coś wołało do mnie z ciemności i mroku. Miałem się z tym wkrótce spotkać.

Położyłem się spać, mając rozpościerającą się przed oczami wielką niebiańską przestrzeń. Gwiazdy były ogromne i cudownie świeciły, jednakże wydawały się bardziej odległe niż kiedykolwiek. Wiatr delikatnie przesypywał piasek. Słyszałem brzęki dzwonek na szyjach spętanych koni. Ostatnią rzeczą, jaką zapamiętałem, był stary Moze skradający się blisko mego boku, szukający ciepła mojego ciała.

Kiedy się obudziłem, długa, biała kreska wyłaniała się z burych chmur na wschodzie. Wolno rozciągnęła się i zabarwiła na czerwono. W końcu poranek wstał, a śnieg na zboczach San Francisco Peaks²

¹ *Bystrze Sockdolager* – dotyczy rzeki Kolorado w USA; *bystrze* – odcinek potoku czy rzeki, w którym nurt przyspiesza, np. wskutek zwężenia lub większego spadku łożyska, podwodnych przeszkód, mielizn.

² *San Francisco Peaks* – wulkaniczny grzbiet w środkowo-północnej Arizonie; znajdują się tu cztery najwyższe szczyty Arizony.

znajdujących się za nami, nabrał różowego odcienia. Mormoni już byli na nogach od samego świtu. To byli rośli i krzepcy mężczyźni, raczej cisi, i sami robotnicy. Ciekawym było obserwowanie ich codziennych przygotowań do wędrówki. Podróżowali z wozami i mułami, w najbardziej prymitywny sposób z możliwych. Jones zapewniał mnie, że dokładnie w taki sam sposób podróżowali pięćdziesiąt lat temu ich ojcowie, przeprawiając się przez równiny do Utah¹.

Czas mieliśmy dobry, ale im głębiej wchodziliśmy w pustynię, tym powietrze stawało się cieplejsze, drzewa cedrowe coraz mniejsze, a kępy szałwii coraz rzadsze. Odwracałem się często, żeby popatrzeć jeszcze na szczyty San Francisco. Pokryte śniegiem wierzchołki lśniły, wydawały się jeszcze wyższe i jawiły się wyraźniej. Ktoś kiedyś powiedział, że są one widoczne z pustyni na odległość dwustu mil, że stały się punktem orientacyjnym i budziły fascynację wszystkich tam podróżujących.

Ile razy spoglądałem na północ, zaczynałem szybciej oddychać, i wstrząsał mną dreszcz z zachwytu, podziwu, szacunku, i z oszołomienia dla tego cudu pustyni. Ziemia nierówna, spękana i czerwonawa zaczęła stopniowo opadać. Nagie czerwone pagórki, jak fale, odpływały na północ. Czarne kopce wznosiły swoje płaskie głowy, długie wstęgi piasku przelewały się między nimi jak strumienie, a wszystko to chyliło się, aby zanurzyć się razem w szarym, cienistym zapomnieniu, w dzikiej i opustoszałej, sennej i mglistej nicości.

– Czy widzisz te białe piaszczyste wydmy tam, bardziej na lewo? – zapytał Emmett. – Tam płynie Małe Kolorado². Jak myślisz, jak to daleko stąd?

– Może ze trzydzieści mil – odpowiedziałem, dodając szacunkowo dziesięć mil.

– Siedemdziesiąt pięć. Dojedziemy tam pojutrze. Jeśli śnieg w górach zaczął topnieć, będziemy mieć czas na przejście.

Tego popołudnia gorący wiatr wiał mi w twarz, niósł ze sobą drobny piasek, który ciął i oslepiał. Wypełniał mi gardło do tego stopnia,

¹ *Utah* – stan w zachodniej części USA, w Wielkiej Kotlinie i Górach Skalistych.

² *Małe Kolorado* (ang. *The Little Colorado*) – rzeka w amerykańskim stanie Arizona, jeden z większych dopływów rzeki Kolorado.

że musiałem bez przerwy, co napełniało mnie wstydem, sięgać po menażkę z wodą. Tej nocy, kiedy padłem wyczerpany na posłanie, spałem jak zabity. Następnego dnia było jeszcze goręcej, wiatr wiał silniej, piasek kłuł dotkliwiej.

Około południa konie zarżały, a muły ocknęły się ze swojego opieszalego marszu.

– Poczują zapach wody – powiedział Emmett. – Ja również wyczuwam ten zapach, pomimo upału i piasku w moich nozdrzach.

Psy, biedne czworonożne zdrożone stworzenia, dreptały na przedzie. Kilka następnych mil gorącego piasku, żwiru i czerwonych kamieni wokół niewysokiego płaskowyżu doprowadziło nas do Małego Kolorado.

Był to szeroki strumień wartko płynącej, czerwonej i zamulonej wody. W kanale, poprzecinanym przez powódzie, drobne strumyczki sączyły i wiły się na wszystkie strony. Główna część rzeki przepływała koło brzegu, na którym się znajdowaliśmy. Psy zaczęły tarzać się w wodzie. Konie i muły chciały wbiec, ale je zatrzymaliśmy; ludzie pili wodę i obmywali twarze. Zgodnie ze słowami mojego przewodnika z Flagstaff, to było pierwsze z dwóch źródeł wody pitnej na szlaku, dlatego też nie żałowałem sobie. Woda była pełna piachu, ale była również przyjemnie zimna i doskonale gasiła pragnienie.

Małe Kolorado wyglądało mi na nie więcej niż płytki potok. Nie słyszałem niczego posępnego, ponurego ani groźnego w jego melodyjnym biegu.

– Nie wygląda na niebezpieczną, co? – zapytał Emmett, jakby czytał w moich myślach. – Zdziwiłbyś się ilu białych, Indian, koni, owiec i wozów jest pogrzebanych w tym grząskim gruncie.

Prawda wyszła na jaw i przestałem się już zastanawiać. Natychmiast strumień i mokre łachy piasku przybrały inny kolor. Zdjąłem buty i przedostałem się do małej łachy. Piasek wyglądał na ubity, ale woda wyciekała mi wokół stóp, a kiedy uczyniłem krok, cała łacha zaczęła trząść się jak galareta. Nacisnąłem stopą powierzchnię. Zimny, mokry piach pochwycił mnie i próbował wciągnąć.

– Jak masz zamiar przeprawić się przez rzekę z końmi? – spytałem Emmetta.

– Musimy spróbować – odpowiedział. – Uwiążemy po dwa zaprzęgi do jednego wozu i przeprowadymy je przez rzekę. Robiłem to już w gorszych warunkach. Raz zaprzęg utknął i musiałem go zostawić. Innym razem stan wody był tak wysoki, że zmyło mnie w dół rzeki.

Emmett wysłał najpierw do rzeki swego syna na mule. Jeździec smagnął zwierzę batem, zanurzył się i rozpryskując wodę, przekroczył rzekę w tempie zbliżonym do galopu. Powrócił w podobny sposób i zameldował o jednym niebezpiecznym miejscu w pobliżu drugiego brzegu.

Jones i ja wdrapaliśmy się na pierwszy wóz. Próbowaliśmy wziąć ze sobą psy, ale nie chciały iść z nami. Emmett musiał uderzyć batem zaprzęgnięte do wozu cztery konie, aby ruszyły. Pozostali mormoni jechali wzdłuż wozu, krzyczeli na nie i również używali swych biczów. Wóz wtoczył się do wody z ogromnym pluskiem. Zanim ujechaliśmy dwadzieścia stóp¹, byliśmy już kompletnie przemoczeni. Zanurzające się konie zniknęły w żółtym rozbryzgu. Rwący strumień pędził pomiędzy kołami wozu, mormoni wrzeszczeli. Chciałem coś dojrzeć, ale nie mogłem z powodu zasłony żółtej mgły. Jones wrzasnął mi coś do ucha, ale nie mogłem nic zrozumieć. Nagle koła wozu natrafiły na kamień czy też kłodę, prawie nas przechylając. Błotny chlup oślepił mnie. Krzyknąłem z emocji i uderzyłem Jonesa w plecy. W następnej chwili entuzjazm, jaki towarzyszył jeździe, ustąpił miejsca scenie jak z horroru. Zdawało się, że się wlecemy, że niemal stoimy w miejscu. Ktoś ryknął: „Koń leży!”. Jedna chwila bolesnej niepewności, podczas której wyobraźnia podsuwała obraz kolejnej tragedii na liście tej zdradliwej rzeki – moment pełen intensywnych uczuć, rozprysk wody na twarzy, i wrzask, i wściekłość. Nagle trzy pozostałe konie wyciągnęły swojego towarzysza z grząskich piasków. Wstał na nogi i rzucił się naprzód. Pobudzone strachem konie zwiększyły swoje wysiłki i wśród rozbryzgów wody przegalopowały pozostały dystans do przeciwnego brzegu.

¹ *Stopa* – angielska miara długości (*foot*), stosowana od czasów rzymskich, wynosi 30,48 cm.

Jones wyglądał na zdegustowanego. Jak wszyscy mieszkańcy równin, nienawidził wody. Emmett i jego ludzie ze spokojem wyprzęgali konie. Na ich opalonych na brąz twarzach nie było śladu niepokoju, czy choćby podekscytowania.

– Wyszło nam całkiem dobrze i łatwo – zauważył Emmett.

Siadłem sobie i zacząłem się zastanawiać, co właściwie zdaniem Jonesa i Emmetta zasługiwałoby na miano naprawdę niebezpiecznego. Miałem coraz większe przeczucie, że niedługo się dowiem. Doświadczenie tego było dla mnie niejako dopiero w powijakach. Tam, daleko na pustyni, to coś, co mnie wołało, miało objawić ciężkie, głębokie i ryzykowne życie. Zacząłem już w sobie przygotowywać rezerwy męstwa i wytrzymałości.

Pozostałe wozy przeprawiły się bez żadnych niespodzianek, ale psy nie weszły na żaden z nich. Jones nawoływał je i nawoływał. Psy wyły i wyły. W końcu przedostałem się przez wodę pomiędzy przeszkodami na odległość kilku setek jardów¹ bliżej psów. Moze leżał na ziemi, ale pozostałe skamlały i wyły w stanie wielkiego niepokoju. Wołałem i wołałem. Odpowiedziały, nawet wbiegły do wody, ale nie odważyły się przekroczyć rzeki.

– Tutaj, Moze! Tutaj, ty dzikusie! – krzyczałem, tracąc cierpliwość. – Przecież przepłynąłeś już Wielkie Kolorado, a to jest zaledwie strumyczek. No dalej!

To zdecydowanie dotknęło Moza, bo zaszczekał i rzucił się do wody. Rozbryzgał ją na wszystkie strony, a kiedy zaczął płynąć, prul piersią nurt z mocą i energią. Dotarł do brzegu prawie równo ze mną. Zamerdał ogonem. Żeby nie być gorszymi i nie pozostać w tyle, Jude, Tige i Don poszły za jego przykładem. I tak najpierw pierwszy, a potem po kolei następne zaczynały płynąć niesione nurtem. Wychodziły na ład obok mnie. Takim to sposobem Ranger, szczeniak, został sam na przeciwnym brzegu. Ze wszystkich żalonych skomleń jakie w życiu słyszałem, wydanych kiedykolwiek przez przerażone i samotne szczenię, jego wyrażał największe osamotnienie. Raz za razem rzucał

¹ *Jard* (ang. yard) – miara długości używana w krajach anglosaskich, równa 0,9144 m.

się w wodę, i wśród gorzkiego wycia rozpaczy zawracał na brzeg. Nawoływałem go, aż w końcu zmieniłem taktykę. Z nadzieją, że go zmotywuję poprzez udawaną obojętność, zacząłem się oddalać. To złamało mu serce. Zadarł łeb do góry i zawył przeciągle, z głębokim smutkiem, w taki sposób, że zabrzmiało to jak modlitwa i zdał się na łaskę żółtego nurtu rzeki. Ranger pływał jak uczeń. Wyglądało to tak, jakby bał się zamoczyć. Jego przednie łapy cały czas poruszały się w powietrzu przed nosem. Kiedy trafił na wartki, rwący nurt, poszedł w dół strumienia jak błyskawica, ale wciąż radził sobie dzielnie. Próbowaliśmy podążać za nim wzdłuż łachy piachu, ale nie nadążaliśmy. Zachęcałem go okrzykami. Zniosło go daleko w dół strumienia, utknął na wysepce, przeszedł przez nią i znów wskoczył do wody. Ledwie zauważyłem go, jak dotarł do brzegu. Kiedy nareszcie dotarłem na suchy ląd, Ranger czekał tam na mnie mokry i rozczochrany, ale dumny i szczęśliwy.

Po lunchu¹ rozpoczęliśmy siedemdziesięcimiłowy odcinek od Małego do Wielkiego Kolorado.

W wyobraźni miałem obraz pustyni jako rozległej, piaszczystej równiny, płaskiej i monotonnej. Rzeczywistość pokazała mi samotne, lśniące w słońcu góry, długie linie czerwonych urwisk, białe piaski wydmy i wzgórza niebieskawej gliny, obszary równinne – a w tym wszystkim świat o wielu odcieniach, świat bez granic, wspaniały i piękny, zatracający się w purpurowej poświacie zachodzącego słońca.

Rozrzedzone, czyste, słodkie, suche pustynne powietrze niosło ze sobą błogość, rozmarzenie, wieści o czymś nieuchwytnym, odległym i urzekającą obietnicę. Wszystko wydawało się unosić na tej obietnicy: woń kwiatów, piękno i wdzięk kobiet, słodycz muzyki, tajemnica życia. To było powietrze, którym oddychali Lotofagowie², kiedy śnili i marzyli, a ich wędrówka była już zakończona.

¹ *Lunch* – szybki, lekki posiłek spożywany w godz. 10.00-13.00.

² *Lotofagowie* (Zjadacze Lotosu) – w mitologii greckiej przyjaźnie usposobiony lud, u których przebywał Odyseusz (*Odyseja*), żywiący się jedynie owocami lotosu oraz rozgniecionymi kwiatami; częstowali przybyszy tą wyśmienitą potrawą, przez co podróżny zapominał o wszystkim, chcąc jedynie pozostać w ich kraju.

Po przejściu Małego Kolorado zaczęliśmy się znów wspinać. Piach zgęstniał, konie zmagaly się, jeźdźcy zakrywali twarze. Psy zaczęły powłóczyć łapami i pozostawać w tyle. Ranger musiał być wsadzony na wóz, a po nim, jeden po drugim, wszystkie psy poza Mozem. Odmówił jazdy wozem i truchtał obok ze zwieszonym łbem.

Daleko z przodu widniały różowe urwiska, nierówne płaskowyzę, ciemne, wulkaniczne odnogi Wielkiego Kolorado i wzywały nas do siebie. Były jednak oddalone o setkę mil drogi przez ruchome piaski, spiekotę dnia i ostre skały. Za nami widniały przez cały czas szczyty San Francisco Peaks, zimne i nieskalane, widoczne wyraźnie i w rozrzedzonej atmosferze wydające się leżeć blisko.

Rozbiliśmy obóz niedaleko dołu z wodą, który znajdował się w głębokim, żółtawym wąwozie rzeki, w ruinie skał, cichym jak grób. Kałuża wody na dnie kanionu była pokryta zielonkawą pianą. Jeden rzut oka na nią skutecznie zgasił moje pragnienie. Nie mogłem zasnąć tej nocy, leżałem i godzinami wpatrywałem się w ogromne gwiazdy. Cisza stała się boleśnie uciążliwa i gdyby Jones nie zaczął wydawać dźwięków przez sen godnych lokomotywy, chyba bym wstał, albo zaczął krzyczeć na głos. Tymczasem to chrapanie zagłuszało wszystko inne dokoła. Ranek wstał szary i ponury. Byłem zdrętwiały i obolały, język miałem sztywny jak kołek.

Przez cały dzień podejmowaliśmy wyzwanie i zmagaliśmy się z gorącym, unoszącym się piaskiem. Znów zapadła noc, zimna i wietrzna. Spałem dobrze do chwili, gdy jeden z mułów nastąpił na moje posłanie, co nie ułatwiło odpoczynku. Świtem zimne i szare chmury próbowały przysłonić różany wschód. Z trudem się podniosłem. Miałem spękane usta, mój język spuchł do dwukrotnej wielkości, oczy piekły i szczypały. Woda w beczkach i antałkach skończyła się. Doły, które zostały wykopane w piachu suchego koryta rzeki poprzedniego wieczora, rano zawierały tylko skąpą ilość błotnistej, alkalicznej wody, którą daliśmy koniom.

Tylko dwa razy tego dnia doświadczyłem czegoś na kształt entuzjazmu. Dotarliśmy do miejsca, gdzie mogliśmy ujrzeć wspaniałą różnorodność pustynnego terenu. Długi łańcuch pięknie zaokrąglo-

nych glinianych kamieni wyznaczał szlak. Były tak symetryczne, jakby wyszły spod ręki rzeźbiarza. Jasnoniebieskie, ciemnoniebieskie, szaroniebieskie, morskie, kobaltowe – każdy możliwy odcień niebieskiego, ale tylko niebieskiego – nie było innego koloru. Drugi raz byłem pod wielkim wrażeniem, gdy dotarliśmy do wierzchołka grzbietu górskiego. Przechodziliśmy właśnie przez czerwone ziemie. Jones miał odpowiednią dla nich nazwę, która doskonale opisywała żar między tymi wysokimi, czerwonymi grzbietami. Dotarliśmy tam w momencie, gdy czerwień gwałtownie przechodziła w szarość. Wyglądało na to, że to ja zawsze dostrzegałem rzeczy pierwszy, zawołałem więc:

– Spójrzcie! Tam są drzewa i czerwone jezioro!

– Nie młodzieńcze, to nie jezioro – powiedział stary Jim, uśmiechając się do mnie. – To coś, czego doświadczają podróżnicy na pustyni. To tylko miraż.

W taki oto sposób doszedłem do poznania tej złudnej rzeczy, tego mirażu, pięknego kłamstwa, nieprawdziwego jak schody z piasku. Daleko na północy perliło się w słońcu przejrzyste jezioro. Wysokie i majestatyczne drzewa z falującymi zielonymi liśćmi otaczały wodę. Było tam przez długi czas. Uśmiechało się do słońca, prawie namacalne. A potem zniknęło. Doświadczalem realnego poczucia straty. Iluzja była tak realna, iż nie mogłem uwierzyć, że nie będę za chwilę pił, taplał i pluskał się w chłodnej, orzeźwiającej wodzie. Rozczarowanie było głębokie. Coś takiego może doprowadzić do szaleństwa zagubionego na pustyni poszukiwacza lub zaganiacza stada. Czy nie byłaby to straszna rzecz, umierając z pragnienia, ujrzeć perlistą wodę, prawie czuć jej zapach, smak i nagle zrozumieć, że był to jedynie fałszywy szlak pustyni, wabik, urojenie? Przestałem się zastanawiać nad mormonami, ich poszukiwaniami wody i ich rozmowami o niej. Nie rozumiałem jej prawdziwego znaczenia, jej wagi. Nie wiedziałem, czym była woda. Nigdy jej naprawdę nie doceniałem. Dlatego też to było moje przeznaczenie, by zrozumieć, że woda to najwspanialsza rzecz na świecie. Pochylałem się nad dołem głębokim na trzy stopy, znajdującym się w dniu wyschniętego koryta rzeki i obserwowałem, jak woda sączy się, przecieka przez piasek i wypełnia wolno dół. Czulem, jak rozluźnia mój wysuszony język, jak

rozlewa się po całym moim wyschniętym ciele, napełniając je siłą i życiem. Mówi się, że woda stanowi trzy czwarte całego wszechświata. Jednakże na pustyni jest całym światem, i całym życiem.

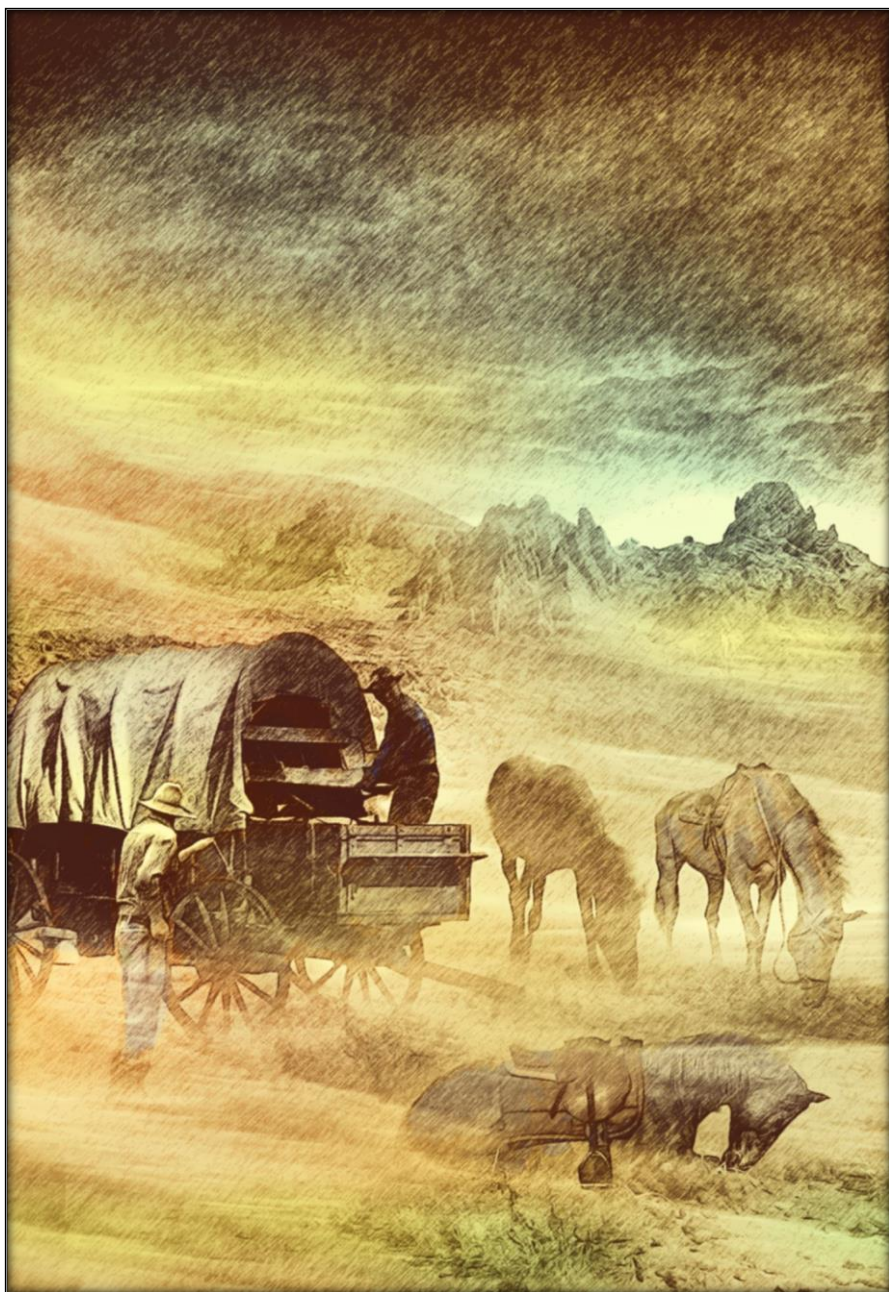
Minęły dwa dni wypełnione gorącym piaskiem, wiatrem i osłepiającym słońcem. Mormoni nie śpiewali już wieczorami. Jones milczał. Psy leżały bezwładnie.

Niedaleko Moncaupie Wash zastała nas burza piaskowa. Konie odwróciły się tyłem do kierunku wiatru i schyliły cierpliwie łby. Mormoni zakryli się. Ja owinałem sobie głowę kocem i schowałem się za krzaczkiem szałwii. Wiatr nawiewał piach i ryczał głucho. Otaczała nas niesamowita żółta mgła. Piasek przedostawał się przez gałązki krzaku i przesypywał się z delikatnym szelestem, podobnym do wiatru w zbożu. Co jakiś czas unosiłem brzeg koca i zerkałem na zewnątrz. W miejscu, gdzie znajdowały się moje stopy, był ogromny kopiec piachu. Dotknąłem koca, był ciężki od piasku, wolno opadł na mnie.

Nagle, tak samo szybko jak się pojawiła, burza ustała. Świat dookoła nas był zmieniony. Szlak został zasypyany. Koła wozów tkwiły głęboko w piachu, konie wyglądały jak chodzące wydmy. Piasek trzeszczał mi w zębach.

Ruszyliśmy naprzód. Po drodze napotkaliśmy na długi rząd skrzemieniałych drzew¹, niektóre z nich, wysokie niegdyś na sto stóp, leżały w miejscu, gdzie upadły tysiące lat temu. Roiły się od białych mrówek. Wspinając się wolno piaszczystym szlakiem, okrążyliśmy wielkie czerwone urwisko z poszarpanymi szczytami, które wydawało się to przeszkodą nie do pokonania. Znowu pojawiły się krzaki szałwii i rzadko rosnące cedry. Zatrzymaliśmy się wśród nich na kolejną noc. W okolicy jednego z drzew doszło do mych uszu żalosne beczenie zwierzęcia. Poszedłem za dźwiękiem i wkrótce znalazłem małe, biało-czarne jagnię. Z trudem wstało i chętnie podeszło do mnie. Podniosłem je i skierowałem się w stronę wozu.

¹ *Skrzemieniałe drewno* – skamieniałości drewna z minionych okresów geologicznych, zachowane dzięki pogrzebaniu drewna w osadzie, a następnie zastąpieniu pierwotnej substancji drewna przez krzemionkę (chalcedon lub opal) pochodzącą z roztworów krążących w osadzie; w procesie tym często zachowane zostają wszelkie szczegóły budowy drewna i jego struktura.



Niedaleko Moncaupie Wash zastała nas burza piaskowa.
Konie odwróciły się tyłem do kierunku wiatru i schyliły cierpliwie łby.

– To jagnię plemienia Nawaho – powiedział Emmett. – Zgubiło się. Gdzieś blisko muszą być Indianie.

– „Słyszeliśmy jego wołanie na pustyni”¹ – zacytował jeden z mormonów.

Razem z Jonesem wspięliśmy się na położony niedaleko obozu czerwony płaskowyż, aby popatrzeć na zachód słońca. Cały zachodni świat tonął w złotym ogniu. Snopy światła wystrzeliwały w górę, a wstęgi jasnego złota, zabarwiające się na różowo, otaczały ognistą, chowającą się za horyzont kulę. Nagle słońce zaszło, złoto stało się szare, następnie liliowe, a cienie utworzyły głęboki wąwóz u naszych stóp. Zmiany zachodziły tak szybko, że nagle otoczyła nas noc, uroczysta i imponująca noc pustyni. Spokój i cisza, jakże święte, opanały to miejsce tak, że nikt nie odważyłby się ich przerwać. Były nieskończone. Władowały minionymi wiekami i wiecznością.

Kolejne dni i kolejne mile, mile, mile, mile! Ostatni dzień jazdy do Wielkiego Kolorado był niezapomniany. Kierowaliśmy się w stronę czoła gigantycznego, czerwonego klifu, prawdziwego piekła, niesamowicie gorącego, oślepiającego, straszliwego. Górował nad nami, coraz wyższy i wyższy. Gdy wreszcie dotarliśmy do tej piekielnej zapory, usłyszeliśmy tępy, dudniący ryk wody i znaleźliśmy się na krętej ścieżce, wyciętej w skale wiszącej nad płynącą w dole rzeką Kolorado. Pierwsze spotkanie z najbardziej osławionymi cudami natury bardzo często przynosi rozczarowanie, ale nie można tego było powiedzieć o mieniającej się krwistym odcieniem czerwieni *Rio Colorado*. Emanowała przerażającym pięknem. Przykuwała mój wzrok tak mocno, że ledwie mogłem go oderwać, aby spojrzeć w kierunku wskazywanym dumnie przez Emmetta – na jego chatę leżącą na przeciwnym brzegu rzeki. Oaza osadzona pomiędzy zwisającymi czerwonymi urwiskami. Jakże przyjemna dla oka była zieleń luczny i topoli! Jadące wzdłuż skarpy wozy miały niewiele wolnego miejsca, a stromy spadek w czerwoną, mętną, dziką rzekę wyglądał przerażająco.

¹ Cytat z Księgi Mormona (ang. *The Book of Mormon*) – jednej ze świętych ksiąg wiernych różnych denominacji mormońskich.

Ujrzałem bystrza na rzece, w miejscu gdzie Kolorado wpadała do kanciastego czoła Wielkiego Kanionu Arizony. Stan wody był wysoki, a głęboki, odbijający się echem huk rzeki był straszliwy. Wzdrygnąłem się na samą myśl o przechodzeniu nad tymi bystrzami.

Ściany z brązu rozchodziły się na boki w miarę, jak posuwaliśmy się naprzód i znaleźliśmy się niebawem na dnie, gdzie zobaczyliśmy długą stalową linę rozciągniętą w poprzek rzeki. Pod nią biegła zwykła lina. Po drugiej stronie stała przycumowana do brzegu stara płaskodenna łódź.

– Czy mamy zamiar przeprować się tym czymś? – zapytałem Emmetta, wskazując łódź.

– Wszyscy będziemy po drugiej stronie zanim zapadnie zmrok – odpowiedział pogodnie.

Pomyślałem sobie, że raczej wolałbym już sam zawrócić na pustynię, niż zaufać takiej łajbie, i to na takiej rzece. A to wszystko dlatego, że miałem już doświadczenie ze zdrażliwymi rzekami i uważałem się za znawcę niebezpiecznych nurtów. Kolorado wypływała z groźnym rykiem z gigantycznej szczeliny w czerwonej ścianie, i kotłując się, wirując, pęczniąc, zmierzała w dół, ku miejscu swojej niewoli i ujarznienia w kamienistym kanionie.

W odpowiedzi na wystrzał, na drugim brzegu pojawił się człowiek Emmetta. Zjechał w dół, zatrzymując się w miejscu cumowania promu. Wsiadł do małej łódki i przez dłuższy czas wiosłował pracowicie pod prąd, zanim zaczął przeprować się na drugą stronę, a wówczas to dał się porwać prądowi. Zmiotło go w dół rzeki, zakręciło łódką dwa razy, ale dotarł bezpiecznie do naszego brzegu. Zabrał ze sobą dwóch ludzi i znów zaczął wiosłować w górę rzeki, trzymając się blisko brzegu i powrócił na drugą stronę w taki sam sposób, w jaki przedostał się do nas.

Trzej mężczyźni wypchnęli płaskodenną łódź na wodę, i chwytając za linę nad głowami, zaczęli ciągnąć. Poruszała się łatwo. Gdy napotkała na nurt, metalowa lina obwisła, wody rzeki zabulgotały i wezbrały się pod nią, wznosząc na przemian jeden jej koniec, a potem drugi. Pomimo tego wystarczyło pięć minut, żeby przeciągnąć szalupę.

Była to prymitywna konstrukcja. Podłużna, zbudowana z ciężkich, ułożonych luźno desek, i na dodatek przeciekała. Kiedy Jones zasugerował, abyśmy jak najszybciej to zrobili i mieli to za sobą, poparłem go i razem wsiedliśmy do łodzi. Powiedział, że nie podoba mu się takielunek¹, a gdy myślałem sobie o jego znikomych technicznych zdolnościach, bynajmniej nie dodawało mi to odwagi. Konie z pierwszego zaprzęgu musiano zaciągnąć siłą na łódź, a gdy już na niej się znalazły, zaczęły na przemian to się cofać, to znów rzucać naprzód.

Kiedy ruszyliśmy, czterech mężczyzn ciągnęło linę, a Emmett siedział na rufie, trzymając w rękach takielunek. Jak tylko natrafiliśmy na nurt, wypuścił olinowanie z ręki; manewr ten spowodował, że łódź zawisła rufą w dół. Gdy ustawiła się ukośnie, znów napiął olinowanie. Zauważyłem, że służyło to dwóm celom: kiedy prąd uderzył, płynął wzdłuż łodzi, obok rufy, co łagodziło niebezpieczeństwo, a tym samym pomogło łodzi płynąć naprzód.

Spojrząc teraz na rzekę to jakby spojrzeć terroryście w oczy, ale musiałem to zrobić. To było piekło. Ryczała głuchym, ponurym głosem, warczała jak potwór. Tak, ta rzeka miała swój własny głos, i ten głos przedziwnie się zmieniał. To jęczała, jakby coś jej dolegało, to skowyczała i płakała. Chwilami dziwnie cichła. Jej nurt, tak złożony i zmienny jak ludzkie życie, wrzał, pulsował i pęczniał. To samo „pęcznienie” było rzeczą nie do opanowania. Było jak huczący wypór wody po podwodnej eksplozji. Po czym nagle nurt wygładzał się i stawał się spokojny jak polany oliwą. To przemieszczał się z jednego toru wodnego na drugi, to wdzierał się do środka rzeki. Wił się od jednego brzegu do drugiego. I znów wzbierał niedaleko łodzi, tworząc wielkie, wrzące i syczące wiry.

– Popatrz! Tam wypływa ze skały! – Jones wrzasnął mi do ucha.

Spojrzałem w górę rzeki i zobaczyłem potężne granitowe ściany z gigantycznym pęknięciem, które musiało mieć miejsce podczas

¹ *Takielunek* – osprzęt żaglowca związany z jego napędem i znajdujący się ponad pokładem (olinowanie, drzewca, bloczki itp., czasami także maszty), w sensie węższym samo olinowanie.

straszego ruchu sejsmicznego, a z tego pęknięcia wylewała się ciemna, dzika i tajemnicza powódź.

Gdy wreszcie dotarliśmy do brzegu, byłem złany zimnym potem, i wyskoczyłem na ląd, zanim jeszcze łódź została odpowiednio przycumowana.

Emmett był mokry do pasa, ponieważ obryzgała go fala. Kiedy tak siedział, poprawiając takielunek, zagadnąłem go, że musi być znakomitym pływakiem, skoro podjął się takiego wyzwania.

– Wcale nie, a nawet, gdybym był, i tak na nic by to się tutaj nie przydało – odpowiedział. – Jak tylko człowiek znajdzie się w tych wodach, już po nim.

– Mielicie tu jakieś poważne wypadki? – zapytałem.

– Nie. Utonęło tylko dwóch naszych ludzi w zeszłym roku. Widzisz, mieliśmy holować łódź w górę rzeki, wiosłując, a wówczas nie mieliśmy metalowej liny. Powyżej tego miejsca tutaj, po tej stronie, łódź uderzyła w głaz i prąd porwał zaprzęg oraz dwóch ludzi.

– Nie próbowaliście ich ratować? – spytałem po chwili.

– Nie było sensu. Nie wypłynęli już na powierzchnię.

– Stan wody musi być wysoki – kontynuowałem, wzdrygając się na widok kłębiących się belek, kłód i wirów.

– Ano jest wysoki i jeszcze się podnosi. Jeśli nie przeprowadzę reszty dziś, będę musiał poczekać, aż poziom wody opadnie. O tej porze roku rzeka wzbiera i opada co dzień, aż do czerwca. Wtedy przychodzi wielka powódź i zaprzestajemy przepraw na kilka miesięcy.

Siedziałem i trzy godziny przyglądałem się, jak Emmett przewoził resztę swojej drużyny. Dokonał tego bez jednego wypadku, ale kosztem ogromnego wysiłku. Przez cały ten czas w moich uszach rozbrzmiewał ryk, grzmot i dudnienie tej niezwykle drapieżnej, zachłannej i zdecydowanej rzeki. Rzeki mułu i szlamu, czerwonej rzeki o mrocznym i złowrogim znaczeniu, rzeki mającej potworną pracę do wykonania, rzeki, która nigdy nie oddaje swoich zmarłych.



Rozdział II

Wielka równina

Ro zasłużonym odpoczynku w domu Emmetta pożegnaliśmy jego oraz jego gościnną rodzinę, i pod przewodnictwem jego człowieka na nowo rozpoczęliśmy wędrówkę po smaganym wiatrem szlaku. Obraliśmy teraz kierunek południowo-zachodni, podążając za skalistą czerwoną ścianą rozciągającą się na przestrzeni setek mil, aż do Utah. Pustynia, gorąca i zamglona, odeszła na bok, a na pierwszy plan wysunęła się ciemna, nieregularna linia Wielkiego Kanionu przecinająca płaskowyż.

Wiatr przygnany z rozległej i otwartej przestrzeni zderzył się z przeszkodą w postaci czerwonej ściany, więc zmienił kierunek na północny i minął nas. Kapelusz spadł Jonesowi z głowy, stanął bokiem i zaczął toczyć się z prędkością mniej więcej trzydziestu mil na godzinę. Toczył się tak szybko, że nie mogliśmy dogonić go nawet konno. Prawdopodobnie nigdy byśmy go nie dogonili, gdyby nie to, że napotkał na swojej drodze głaz, uderzył w niego i upadł. Wszędzie dookoła mogliśmy podziwiać kolejne manifestacje mocy pustynnego wiatru. Drażył w klifach ogromne głazy, toczył je na równinę poniżej, a potem, zamiatając piasek i żwir nisko, po pustynnej ziemi, smagał nimi głazy, aż spoczęły na smukłych cokołach, tym samym rzeźbiąc groteskowe i efektowne pomniki cudownej wytrzymałości tego elementu natury.

Późnym popołudniem, gdy dotarliśmy na szczyt płaskowyżu, Jones otrząsnął się nagle i krzyknął:

– Ha! Widzę Buckskin!

Daleko na południu widniała rozległa, czarna góra pokryta łatami lśniącego śniegu. Mogłem dostrzec zygzakowaty zarys Wielkiego Kanionu, rozdzielający równinę pustyni i znikający we mgle na końcu góry. Wówczas po raz pierwszy uświadomiłem sobie wyraźnie topo-

grafię tego terenu, który otaczał nasz punktu docelowy. Góra Buckskin kierowała swój stępiony kraniec na wschód, do Wielkiego Kanionu i faktycznie tworzyła sto mil północnej krawędzi. Miała dziewięć tysięcy stóp wysokości i śnieg na szczytach, co miało wpływ na długość naszej podróży przez pustynię, bo musieliśmy obejść górę dookoła. Widziałem wysokie stoki wznoszące się z pustyni i przechodzące dalej w las.

Kiedy tak sobie podążaliśmy wesoło noga za nogą, zauważyłem, że nie znajdujemy się już na kamienistym gruncie, i że pojawiła się odrobina skąpej srebrzystej trawy, a następnie z gliniastego piasku uśmiechnęły się do nas zielone gałązki z błękitnym kwiatem.

Nagle Jones wydał z siebie dziki okrzyk Komanczów¹. Bardziej przeraził mnie ten ryk, niż ręka, która grzmotnęła mnie w ramię, i przez chwilę stałem oszołomiony.

– Tam! Patrz! Patrz! Bizony! Hej! Hej! Hej!

Poniżej nas, kilka mil dalej, na wznoszącym się pagórku, ciemniało na tle złota wieczornego słońca wielkie stado bizonów. Nie byłem aż tak rozentuzjasmowany jak Jones, ale ten dziki i piękny obraz wyzwolił we mnie ogromną radość, tak, że również wydałem okrzyk. Ogromny i potężnie zbudowany przywódca stada uniósł łeb, patrzył na nas przez chwilę, po czym wrócił do skubania trawy.

Pustynia przemieniała się w wielkie, falujące pastwisko, zamknięte w ścianach czerwonych klifów, stoków Buckskin i odosobnione przez Wielki Kanion. Tutaj znajdowało się dwa tysiące czterysta mil kwadratowych prerii, bez kawałka drutu kolczastego. Pastwisko ogrodzone przez naturę było tak wspaniałe, że bizony mogły paść się na równinie w zimie, a w lecie iść na chłodne wzgórza Buckskin.

Z drugiego łańcucha górskiego dostrześliśmy chatę odznaczającą się na tle falujących, równinnych traw i po pół godzinie byliśmy już przy niej. Podczas gdy schodziliśmy z wozu, z chaty wyskoczył dziarsko brązowo-czarny pies i od razu zaatakował Moza. Słabo orientował się w sytuacji, ponieważ Moze pognął go, zanim w ogóle zdążyłem

¹ *Komancze* – Indianie Ameryki Północnej posługujący się językiem z grupy uto-azteckiej; dawniej myśliwi prerii, obecnie w rezerwacie stanu Oklahoma.

zareagować i ich rozdzielić. Słyszając, jak Jones serdecznie się z kimś wita, odwróciłem się w jego stronę, ale kolejna psia bójka rozproszyła moją uwagę. To Don rzucił się na Moza chyba z siódmy raz. Donowi należało się manto i właśnie je dostawał, gdy doskoczyłem do psów i go ocaliłem.

W następnej chwili już witałem się z Frankiem i Jimem, ranczerami¹ Jonesa. Polubiłem ich od pierwszego wejrzenia. Frank był niski, szczupły, ale umięśniony. Miał ogromne wąsy i równoważące je łagodne, brązowe oczy. Jim był wyższy, trochę grubszy, miał swobodny i schludny wygląd oraz badawcze spojrzenie. Pomimo że wyglądał na młodego człowieka, jego włosy były białe.

– Muszę przyznać, iż cieszę się, że was wszystkich widzę – powiedział Jim wolno z miękkim, południowym akcentem.

– Zsiądźcie z koni – powitał nas Frank zawołaniem typowym dla Zachodu, bo przecież my już dawno z koni zesliśmy – i wejdźcie. Musicie być wykończeni. Przebyliście daleką drogę.

Mówił szybko i nerwowo, a gościnnosc wręcz biła od niego.

Chata była prymitywna, zbudowana z drewnianych belek, z ogromnym kamiennym kominkiem w jednym końcu, rogami jeleni i skórą kojotów na ścianie, siodłami i siódmymi rzuconymi w rogu, oraz z dużym, przyjemnie się kojarzącym kredensem kuchennym, stołem i krzesłami.

Jim dorzucił drewna do tłącego się na kominku ognia. Wkrótce płomień zwiększył się i zaczął wesoło skwierczeć.

Usiadłem na krześle z uczuciem błogosławionej ulgi. Dziesięć dni jazdy przez pustynię za mną! Obietnica wspaniałych dni w towarzystwie ostatnich mieszkańców równin przede mną. Nic dziwnego, że ogarnęło mnie słodkie uczucie lekkości. Czy to z powodu ognia palącego się tak żywo, wesoło i przyjemnie, czy też może rychłej kolacji, byłem po prostu wniebowzięty.

– Dwadzieścia cieląt tej wiosny! – wrzeszczał Jones, dając mi kusańce w mój obolały bok. – Cielęta warte dziesięć tysięcy dolarów!

¹ *Rancier* – właściciel rancza, czyli gospodarstwa rolnego z hodowlą bydła lub koni w Ameryce.

Był teraz zupełnie zmienionym człowiekiem. Wyglądał prawie młodo. W oczach tańczyły mu ogniki i zacierał swoje wielkie dłonie, zasypując Franka gradem pytań. Z dala od swojej dzikiej przyrody, Jones był cichym i spokojnym człowiekiem. Niemożliwym było wyciągnąć z niego choćby jedno słowo. Ale teraz przekonałem się, że mógłbym poznać prawdziwego Jonesa. Przez te kilka chwil wypowiedział więcej słów, niż w czasie całej wyprawy przez pustynię, a to co powiedział, dodało co nieco do tej garstki wiedzy, którą już posiadałem na temat jego bizonów, a jednocześnie dostarczyło kilku interesujących informacji.

Kilka lat wcześniej zrodził się u niego pomysł, aby dokonać krzyżówki bizona z czarnym bydłem Galloway¹, i z charakterystyczną sobie determinacją i energią, wyruszył na poszukiwanie odpowiedniego miejsca na pastwisko. Było to trudne przedsięwzięcie i zabrało lata. W końcu wybór padł na dziką, zachodnią krawędź Wielkiego Kanionu, miejsce znane tylko kilku Indianom i łowcom mustangów². Wówczas rozpoczęto gigantyczną akcję transportu kolejną stada bizonów z Montany³ do Salt Lake⁴. Dwieście dziewięćdziesiąt mil pustyni leżącej pomiędzy domem mormonów a górą Buckskin było przeszkodą niemal nie do pokonania. Wyzwanie zostało podjęte i okazało się o wiele trudniejsze, niż się spodziewano. W czasie podróży bizon zdychał za bizonem. Wówczas Frank, prawa ręka Jonesa, wprowadził w życie swój plan, a mianowicie – by podróżować wyłącznie nocą. To pomogło. Bizony odpoczywały w ciągu dnia, a nocą podróżowały etapami. W rezultacie tego duże stado dotarło na idealne pastwisko.

A tam, w środowisku tak innym dla ich rasy, ale dziwnie łatwym do przystosowania, dobrze żyły i rozmnażały się. Krzyżówka krowy

¹ *Bydło Galloway* – rasa bydła mięsnego powstała w surowych warunkach południowo-zachodniej Szkocji, w rejonie Galloway (stąd nazwa); jest to rasa genetycznie bezroga i posiadająca dość długą pokrywą włosową.

² *Mustangi* – wtórnie dziczące konie zamieszkujące prerie Ameryki Północnej, pochodzące od przywiezionych przez Hiszpanów po odkryciu Ameryki, niegdyś liczne, masowo wybijane w XIX w., obecnie pod ochroną.

³ *Montana* – stan w północno-zachodniej części USA, graniczy z Kanadą.

⁴ *Salt Lake* – hrabstwo w obecnym stanie Utah, USA.

Galloway i bizona zakończyła się sukcesem. Jones nazwał nowy gatunek „Cattalo”. Cattalo odziedziczył po bizonach wytrzymałość i nigdy nie wymagał sztucznego dokarmiania, ani schronienia. Stawiłby czoło pustyńnej burzy i nawałnicy nie ruszając się ze swojego miejsca, aż pogoda się wyklaruje. Całkowicie się udomowił. Łatwy w hodowli, nabierał szybko masy, nie wymagając wiele pożywienia. Fałdy jego żołądka były tak liczne, że trawił nawet najtwardsze kolby kukurydzy. Miał czternaście żeber z każdej strony, podczas gdy bydło domowe miało tylko trzynaście. Dzięki temu mógł znieść cięższą pracę i dłuższe wyprawy po wodę. Jego futro było tak gęste i lśniące, że mogło równać się z futrem bobra albo wydry, a przy tym było tak samo cenne, jak futro bizona. Nie można też zapomnieć o tym, że jego mięso było wysmienite.

Jones chciał usłyszeć każdy szczegół o tym, co się wydarzyło podczas jego pobytu na Wschodzie, a zwłaszcza interesowało go owe dwadzieścia nowych cieląt Cattalo. Każdy bizon miał nadane imię. Również cielęta zaczął nazywać odpowiednio: „Biała Twarz”, albo „Złośnik”. Prawie zapomniał o jedzeniu, i Frankowi też nie pozwolił jeść. Uspokoił się dopiero po kolacji.

– A co z twoim drugim człowiekiem, jak mu tam – Wallace? – zapytał Frank.

– Mielśmy się spotkać na stacji w Wielkim Kanionie, a potem we Flagstaff, ale się nie pojawił. Albo się wycofał, albo się minęliśmy. Szkoda, bo gdy wdrapiemy się na Buckskin, pomiędzy dzikie mustangi i kuguary, prawdopodobnie będziemy go potrzebować.

– Przypuszczam, że będziesz potrzebował również mnie i Jima – stwierdził Frank sucho z błyskiem w oku. – Stado jest w dobrym stanie i przez jakiś czas może się beze mnie obejść.

– Tak byłoby dobrze. Jakies ślady kugarów w górach?

– Dużo. Widziałem dwa koło Clark Spring. Będzie ze dwa tygodnie temu, jak tropiłem je w śniegu wzdłuż szlaku przez wiele mil. Przesmykniemy się tam, jako że prowadzi on w stronę Siwash. Siwash wypływa z Wielkiego Kanionu – to jest miejsce górskich lwów. Jakiś czas temu spotkałem kowboja, ujeżdżacza dzikich koni, który opowiedział mi o Starym Tomie i żrebackach, które zabił tej zimy.

Oczywiście chciałem usłyszeć więcej o Starym Tomie.

– To największy kuguar w tych stronach. Zostawia ślady większe od konia, i jest widywany na Buckskin od dwunastu lat. Ten kowboj o nazwisku Clark powiedział, że zostawił swojego osiodłanego konia na popas niedaleko obozu, a Stary Tom zakradł się i powalił go. Nie ma co, kuguary w tych stronach zrobiły się naprawdę zuchwałe. Ale czemu by nie miały być? Nikt nigdy nie polował na te zwierzęta. Widzicie, ciężko jest się dostać na górę. Ale teraz już tu jesteście, i jeśli wielkie koty są tym, czego chcecie, na pewno je znajdziemy. Tylko zachowajcie spokój. Macie dużo czasu. Każde przedsięwzięcie na Buckskin wymaga czasu. Obejrzymy cielaki, a ty musisz pojeździć po równinie, nabrać wprawy, wzmocnić się. Potem zakradniemy się na Oak. Podejrzewam, że teren będzie bagnisty, i mam nadzieję, że nie będzie już śniegu.

– Śnieg jeszcze nie stopniał na Greenland Point – odpowiedział Jones. – Widzieliśmy go przez lunetę na El Tovar. Chcieliśmy tam przejść, ale Rust powiedział, że na Bright Angel Creek śnieg sięga koniom do piersi, a właśnie w tym miejscu biegnie szlak.

– Na Greenland będą ze cztery stopy śniegu – powiedział Frank. – Za wcześnie, żeby iść tą trasą. Kanion jest możliwy do przekroczenia przez Greenland tylko jakieś trzy miesiące w roku.

– Chcę iść przez śnieg – odezwał się Jones. – Ta zgraja długouchych psów, która przybyła ze mną, nigdy nie wahała śladu górskiego lwa. Bez śniegu nie da się szybko wyszkolić psów gończych. Musisz być w stanie widzieć, co tropią albo nie odzwyczaisz ich od tropów innych zwierząt.

Frank zawahał się.

– Wydaje mi się, że trudno nam będzie znaleźć kuguary bez psów znajdujących się na ich tropieniu. Dużo czasu zabiera oderwanie psa od tropu jelenia, kiedy już nim podąża. Buckskin jest pełne jeleni, wilków, kojotów i dzikich mustangów. Nie uszlibyśmy stu stóp bez mieszania się tropów i krzyżowania się ścieżek.

– A jak ten ogar, którego ty i Jim złapaliście w zeszłym roku? Ma dobry węch? A tutaj jest. Podoba mi się jego łeb. Chodź tu, Burek. Jak mu na imię?

– Jim dał mu na imię Tenor¹, bo głos to on ma. Wspaniale jest słuchać go, gdy złapie trop. Tenor ma nos, którego nie można oszukać. Pójdzie tropem wszystkiego co się rusza, ale nie wiem, czy kiedykolwiek złapał kuguara.

Tenor zamachał puszystym ogonem i spojrział na Franka z uczuciem. Miał kształtny łeb, wielkie brązowe oczy, bardzo długie uszy i kręconą, brązowo-czarną sierść. Nie był zbyt wylewny i otwarty. Patrzył raczej krzywo na Jonesa i unikał innych psów.

– Ten pies zapowiada się na świetnego tropiciela kugarów – stwierdził Jones zdecydowanie po obejrzeniu Tenora. – On i Moze zapewnią nam pełne ręce roboty, jak tylko zrozumieją, że chcemy kugarów.

– Nie wierzę, by jakikolwiek trener psów był w stanie nauczyć ich tego w czasie krótszym niż sześć miesięcy – odpowiedział Frank. – Tenor nie jest już młodzieniaszkiem, a ten czarny i brudnobiały mieszaniec kuca z drutem kolczastym jest już naprawdę starym psem. Nie nauczysz starych psów nowych sztuczek.

Jones uśmiechnął się tajemniczo i z wyższością, ale się nie odezwał.

– Jutro będzie burza, to pewne – powiedział Jim, wyjmując fajkę z ust tylko na chwilę.

Zamilkł, kierując zamyślane spojrzenie w okno chaty, na zachód, gdzie matowa poświata znikwała pod ciężkimi, ołowianymi chmurami nocy. Pozostał tylko ciemny horyzont.

Kiedy się położyłem, odczułem głębokie zmęczenie, ale byłem tak podekscytowany tym wszystkim, że sen nie chciał skleić moich powiek. Rozmowa o bizonach, łowcach dzikich koni, kugarach i psach myśliwskich, perspektywa ciężkiej i trudnej jazdy, niezwykłej przygody, Starym Tomie, którego wizja zaczęła mnie już nawiedzać, wypełniły mój umysł wizjami i wyobrażeniami. Towarzysze zapadli w sen i zapanowała cisza.

Nagle z równiny, niedaleko chaty, doszły nas dziwne, ostre szczeknięcia, jedno po drugim. To kojoty składały nam wizytę, a sądząc po chóralnym wyciu naszych psów, nie była to wizyta mile widziana.

¹ *Tenor* – w oryginale: Sounder.

Ponad tą składanką wrzasków dominował jeden donośny głos, który od razu rozpoznałem – należał on do Tenora. Potem wszystko znów ucichło. Stopniowo sen zaczął przytępiać moje zmysły. Mgliste, nieokreślone frazy dryfowały w tę i z powrotem w moim odrętwiałym umyśle. Dzikię pastwisko Jonesa, Stary Tom, Tenor, świetne imię, świetny głos, Tenor! Tenor! Tenor!

Następnego ranka ledwie mogłem wyczołgać się ze swojego śpiwora. Bolały mnie kości, mięśnie protestowały straszliwie, moje usta były spieczone i krwawiły, a przeziębienie, które złapałem jeszcze na pustyni, trzymało mnie mocno. Przyjemny i energiczny spacer dookoła zagrody, a potem śniadanie sprawiły, że poczułem się lepiej.

– Oczywiście potrafisz jeździć konno? – zapytał Frank.

Moja odpowiedź nie zabrzmiała przekonująco. Frank zmarszczył lekko brwi, jakby zastanawiał się, jak ten człowiek miał odwagę wyruszyć na wyprawę z Buffalo Jonesem¹, nie będąc wyborowym jeźdźcem. Brak umiejętności utrzymania się na grzbiecie dzikiego mustanga lub konia była w Arizonie niewybaczalnym grzechem. Moje szczere wyznanie stanowiło, w moim mniemaniu, coś, co kowboje uznali za standard jazdy konnej.

Wierzchowiec, którego Frank przyprowadził dla mnie z zagrody, był śnieżnobiałym, pięknym mustangiem, nerwowym, wrażliwym i płochliwym. Przyglądałem się, jak Frank zakłada siodło, a kiedy mnie zawołał i podszedłem bliżej, nie umknęły mojej uwadze wesołe ogniki w jego brązowych oczach.

Spoglądając w stronę góry Buckskin, która przypadkowo pokrywała się z kierunkiem, w którym był dom, powiedziałem do siebie: „To może być miejsce, gdzie wsiadam na konia, ale zdecydowanie jest to miejsce, gdzie zaczyna się przygoda!”.

Jones był już daleko w przodzie, co potwierdzała chmura kurzu. Ruszyłem za nim z bolesną świadomością, że Frank i Jim przyglądają mi się w taki sam sposób, jak często robili to jeźdźcy z Central

¹ Odniesienie do Buffalo Billa, właściwie Williama Fredericka Cody'ego, myśliwego, zwiadowcy armii amerykańskiej, organizatora i aktora widowisk rozrywkowych.

Parku¹. Frank krzyknął za mną, że dogoni nas na prerii. Nie chciałem spieszyć się zbyt, aby dogonić Jonesa, ale najwyraźniej zamiary mojego wierzchowca różniły się od moich. W każdym razie pędził tak, że wzbijał tumany kurzu i przeskakiwał przez krzaczki szaławii.

Jones zatrzymał się na dłużej, aby obejrzeć jedno z rozlewisk, powstałych z wody wypływającej z zagród. Znalazłem go podczas tej obojętnej inspekcji.

– Dlaczego, do ciężkiego pioruna, Frank dał ci tę białą szkapę?! Bizony nienawidzą białych koni, czegokolwiek białego. Mogłyby się spłoszyć, albo zapędzić cię do kanionu.

Odpowiedziałem ponuro, że skoro pewnym było, że coś ma się wydarzyć, to równie dobrze mogłoby nastąpić to szybko.

Jechaliśmy po falującej trawami równinie, a chłodna, przyjemna bryza owiewała nasze twarze. Niebo było matowe, z pięknym, marmurkowym wzorem z chmur, wróżącym nadejście wiatru. Gdy tak kłusowaliśmy naprzód, Jones wskazywał mi i rozwódził się na temat odżywczej wartości trzech różnych rodzajów traw, z których jedną nazywał bawolim groszkiem. Kwitł on pięknie na niebiesko. Wkrótce straciliśmy z oczu chatę, a przed nami rozciągała się jedynie bujna równina, czerwone czubki kamiennej ściany i czarno obramowana grań Buckskin. Jechaliśmy jeszcze przez chwilę, zanim zaczęliśmy zauważać pierwsze okazy bydła. Kilka z nich przebywało na pastwisku, pasąc się po osłoniętej od wiatru stronie. Kiedy tylko je zauważyłem, Jones wydał z siebie kolejny wrzask Komancza.

– Wilk! – zawołał i popędzając swojego wielkiego gniadosza, pomknął jak wiatr.

Zobaczyłem kilka krów biegnących w przerażeniu, a obok nich wielkiego, białego wilka obalającego na ziemię cielaka. Kolejny biały wilk stał nieopodal. Mój koń podskoczył, jakby go ktoś postrzelił i nagle zrozumiałem, że to coś właśnie nadeszło. Łaciaty – mustang

¹ *Central Park* – park miejski w Nowym Jorku będący oazą zieleni; kiedy w 1853 roku władze Nowego Jorku podjęły decyzję o zagospodarowaniu terenu na park miejski, było to odludzie.

miał jedną czarną łatę na swoim nieskazitelnie białym umaszczeniu, parsknął jak rasowy koń w odpowiedzi na straszliwą zniewagę. Gniadosz Jonesa był już ze sto długości konia przed nami. Nauczyłem się, że Łaciaty nie lubił pozostawać w tyle i nie pozwalał na to, aby go zostawiać. Był najszybszym koniem na tej prerii i był z tego dumny. Rzuciłem jedno niecenzuralne słowo w stronę chaty i Franka, a potem już tylko skupiłem umysł i napiąłem mięśnie na jednym zadaniu – utrzymaniu się w siodle. Jones urodził się w siodle, więc jadąc konno, spożywał swoje posiłki przez jakieś sześćdziesiąt trzy lata, a jego gniadosz potrafił biec. Biec, to mało powiedziane, on fruwał. Dlatego też byłem bliski obłędu, widząc, jak odległość między końmi zmniejsza się z każdym skokiem. Łaciaty wyciągnął się, przywarł bardziej do ziemi i pruł powietrze jak szybki automobil. Gdybym nie słyszał szybkiego, rytmicznego tętentu jego kopyt, i nie podskakiwał wysoko w siodle w ich rytm, byłbym pewien, że frunę w powietrzu. Próbowałem go powstrzymać. Równie dobrze mógłbym próbować holować „Lusitanię”¹ na sznurku. Łaciaty chciał dogonić gniadosza i na przekór mnie dążył do tego. Wiatr walił mi w twarz i szumiał w uszach. Jones wyglądał z oddali jak mglista postać, która stawała się coraz większa i większa. Niebawem stał się wyraźny, a gwałtowne perturbacje pode mną ustały. Znowu czułem, że siedzę w siodle i zdałem sobie sprawę, że Łaciaty z zadowoleniem zatrzymał się obok Jonesa, podrzucając łeb i gryząc wędzidło.

– Na Boga! Nie wiedziałem, że byłeś tak blisko za mną! – krzyczał mój towarzysz. – To niezła mała potyczka. Chyba przebyliśmy z kilka mil. Zabiłbym te wilki, gdybym miał przy sobie broń. Ten duży, który schwytał cielaka, to była zuchwała bestia. Nie odpuścił, dopóki nie byłem w odległości pięćdziesięciu stóp od niego. Wtedy prawie go staranowałem. Nie sądzę, żeby cielak bardzo ucierpiał. Ale te żądne krwi diabły powrócą i znowu na niego zapolują. To właśnie jest najgorsze w hodowli bydła. Weźmy dla odmiany bizona. Czy myślisz, że te wilki byłyby w stanie oderwać cielaka bizona od jego

¹ *Lusitania* – wielki brytyjski liniowiec pasażerski zbudowany w 1907 roku.

matki? Nigdy. Ani cała banda wilków by tego nie dokonała. Bizony trzymają się razem, a młode nie odstają od grupy. Gdy zagraża im niebezpieczeństwo, stado otacza intruzów, stawia im czoła i walczy. To jest właśnie wspaniałe i imponujące w tych zwierzętach, i dzięki temu wędrowały kiedyś przez prerie niezliczonymi i niekończącymi się stadami.

Z największego wzniesienia w tej części pastwiska przepatrywaliśmy otaczające je grzbiety górskie, równiny i kotliny, w poszukiwaniu bizonów. Wreszcie zauważyliśmy chmurę kurzu unoszącą się zza pofałdowanego pagórka, z której wyłoniły się czarne punkty.

– Frank spędza stado i gna ich w tę stronę. Zaczekamy – powiedział Jones.

Choć wyglądało na to, że bizony przemieszczają się szybko, sporo czasu upłynęło, zanim do nas dotarły. Galopowały ciężko w zbitej masie, tak gęstej, że nie mogłem ich zliczyć, ale oszacowałem liczbę na siedemdziesiąt pięć. Frank jechał zygzakami tuż za nimi, wymachując swym lassem i pokrzykując. Gdy nas zobaczył, ściągnął cugle swego konia i czekał. Stado zwolniło, zatrzymało się i zaczęło się paść.

– Spójrz na cielaki Cattalo – rozplýwał się w ekstazie Jones. – Spójrz, jakie są płocne i bojaźliwe, jak blisko trzymają się swoich matek!

Mali, ciemnobrązowi koledzy byli po prostu przestraszeni. Podjąłem kilka bezskutecznych prób sfotografowania ich, ale poddałem się, gdy Jones poradził mi, żebym nie podjeżdżał zbyt blisko, i że lepiej zaczekać, aż będą w zagrodzie.

Wziął mój aparat fotograficzny i poinstruował mnie, abym pojechał pierwszy na tyły stada. Usłyszałem klik aparatu, gdy pstryknął zdjęcie i nagle krzyknął ostrzegawczo:

– Uważaj! Uważaj! Pospiesz konia!

Grzmot kopyt dudniących po ziemi towarzyszył jego okrzykom. Zobaczyłem ogromnego byka, który z opuszczoną głową i podniesionym ogonem, szarżował na mojego konia. Odpowiedział na okrzyk komendy Franka wściekłym charknięciem. Byłem sparaliżowany tym niesamowitym i błyskawicznym zachowaniem kudłatej bestii. Sie-

działem bezradny w siodle. Łaciaty skręcił gwałtownie w miejscu i rzucił się w bok z szybkością wprawiającą w osłupienie. Bizon zatrzymał się, zaczął grzebać kopytem ziemię i ze złością podrzucał swój olbrzymi łeb. Frank zbliżył się do niego, krzyknął i smagnął go lassem, na co bizon odpowiedział kolejnym potrząśnięciem rogów, po czym dołączył do stada.

– To przez tę przeklętą białą szkapę – powiedział Jones. – Frank, to było niemądre, żeby wsadzać niedoświadczonego jeźdźca na Łaciatego. Ten koń nigdy nie powinien zbliżać się do bizonów.

– Łaciaty zna się na bizonach, nie dognają go – odpowiedział Frank, ale w jego głosie nie było już dawnej werwy i zerkał na mnie uważnie. Domyślałem się, że zbladłem, bo czułem, że krew odpłynęła mi od twarzy.

– A teraz spójrz na to! – krzyczał Jones. – Wcale mi się to nie podoba.

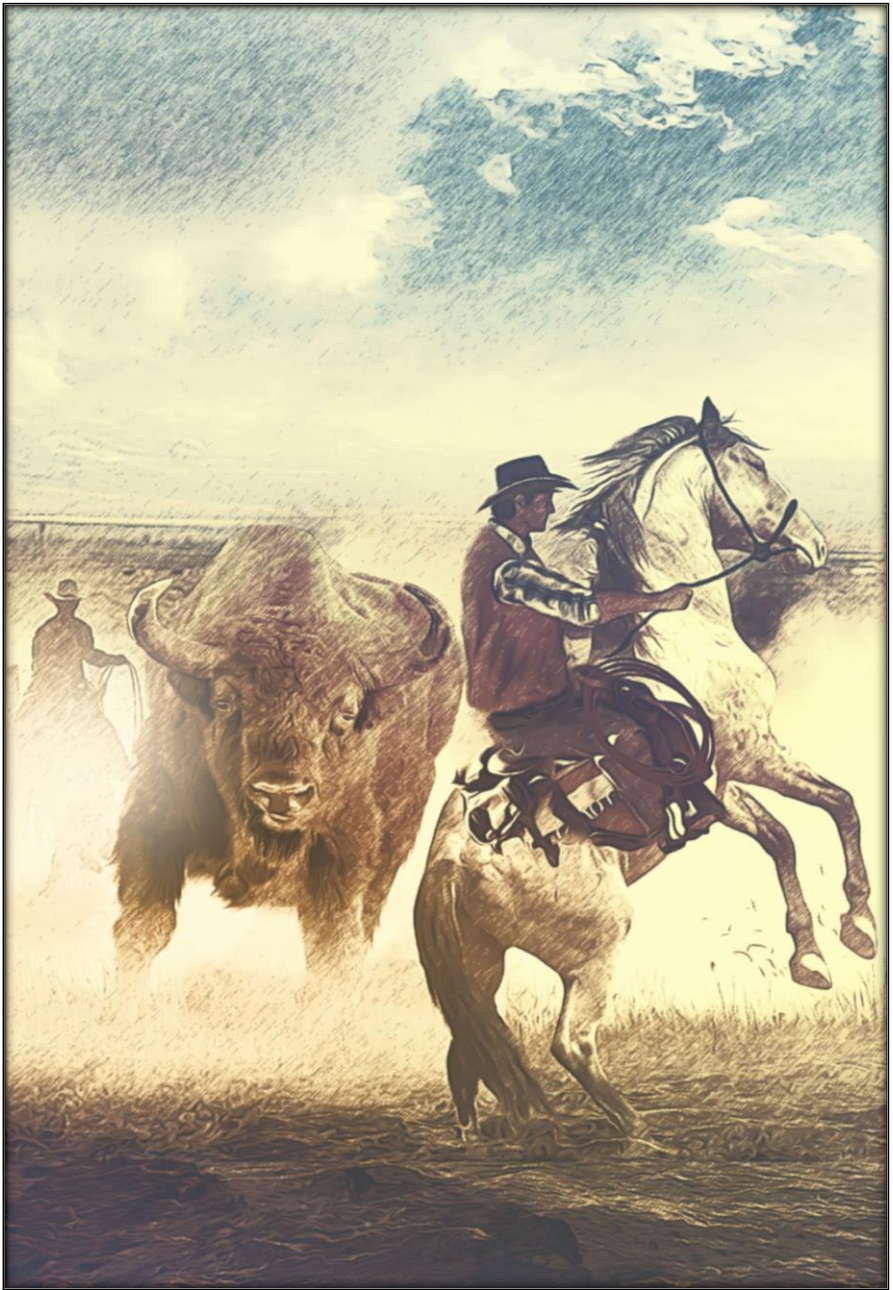
Wskazał na stado. Zwierzęta przestały się paść, stały się niespokojne i przesuwały się tam i z powrotem. Byk uniósł głowę, reszta wolno zbiła się w grupę.

– Burza! Burza piaskowa! – wykrzyknął Jones, wskazując na pustynię.

W naszym kierunku nadciągały ciemne, żółte chmury, podobne do dymu. Rozwijały się, zakwitały jak gigantyczne róże, wirowały, łączyły się ze sobą, toczyły się, były coraz bliżej i zasłoniły słońce.

– Musimy uciekać. Burza może potrwać ze dwa dni! – krzyknął do mnie Frank. – Mieliśmy ostatnio kilka naprawdę silnych. Poluzuj koniowi cugle i zasłoń sobie twarz.

Ryk, podobny do ryku sztormu na morzu, nadleciał wraz z podmuchami wiatru, a konie przeszły w stępa. Zaczęły nas smagać długie strumienie kurzu. Srebnobiała trawa słała się po ziemi. Kragłe krzaczkiształii przeturlały się przed nami. Podmuchy wiatru wzmagały się. Były miarowe i uporczywe. Nagle wiatr zawył dziko i spadł na nas, oslepiając żółtym całunem. Zamknąłem oczy i zakryłem twarz chustą.



Zobaczyłem ogromnego byka, który z opuszczoną głową
i podniesionym ogonem, szarżował na mojego konia.

Piasek był tak gruboziarnisty, że wsypywał mi się w rękawiczki, kamyki uderzały we mnie tak mocno, że czułem je przez płaszcz.

Na szczęście Łaciaty poruszał się luźnym, kołyszącym stępem, który był dla mnie bardzo komfortowy i przyjemny, ale zaczynałem cały drętwieć i ledwie trzymałem się w siodle. Już traciłem nadzieję, gdy nagle Łaciaty zatrzymał się. Odkrywając twarz, zobaczyłem Jima stojącego w drzwiach chaty po zawietrznej stronie. Żółte, podłużne, świszczące chmury piachu rozdzieliły się nad chatą i przesunęły się, pozostawiając niewielką, zamgloną, świetlistą przestrzeń.

– O, Łaciaty nie lubi przegrywać! – krzyczał Jim, pomagając mi zsiąść z konia. Pokuśtykałem do chaty, padłem na skórę bizona i leżałem tam kompletnie wykończony. Jones i Frank przybyli kolejno po sobie w kilkuminutowych odstępach czasu, a każdy z nich przeklinał ostry i wszędzie dostający się piach.

Przez cały dzień pustynna burza ryczała i szalała. Kurz przesiewał się do środka przez niezliczone szpary w chacie. Dostawał się do ubrań, jedzenia, do oczu. Wiatr, śnieg, śnieg z deszczem i burze są wystarczająco uciążliwe w trudnych okolicznościach, ale nawet połączone razem nie mogą równać się z dławiącą, smagającą i oślepiającą siłą burzy piaskowej.

– Pewnie przejdzie przed zachodem słońca – stwierdził Jim. I rzeczywiście, około piątej po południu ryk ustał, wiatr ucichł, a piasek osiadł.

Tuż przed kolacją ktoś zapukał głośno do drzwi chaty. Jim otworzył i wpuścił jednego z synów Emmetta i bardzo wysokiego mężczyznę, którego nikt z nas nie znał. Był prawie cały pokryty piaskiem, a to, co było widoczne, to sztruksowe spodnie, wielki nóż z kościaną rękojeścią, wydatna, kwadratowa szczęka, opalone policzki i błyszczące oczy.

– Wejdz, wejdz, nieznajomy – powitał go Frank serdecznie.

– Jak się pan miewa? – spytał Jones.

– Pułkowniku Jones, podążam pana śladem przez ostatnie dwa naście dni – oznajmił nieznajomy z ponurym uśmiechem.

Piasek sypał się z jego płaszcza cieniutką, białą strużką. Jones wyglądał, jakby bił się z myślami.

– Jestem Grant Wallace – kontynuował nowo przybyły. – Minęliśmy się w El Tovar, w Williams i we Flagstaff, gdzie przybywałem jeden dzień po was. Przy Małym Kolorado mieliście nade mną tylko pół dnia przewagi, widziałem waszą kolejkę przekraczającą Moncaupie Wash, ale nie dogoniłem was, bo nadciągnęła tam burza piaskowa. Patrzyłem na was z drugiego brzegu Wielkiego Kolorado, jak po opuszczeniu chaty Emmetta jechaliście wzdłuż czerwonej ściany. I oto jestem. Nie mieliśmy przyjemności spotkać się wcześniej, ale to oczywiście nie z mojej winy.

Pułkownik i ja uścisnęliśmy Wallace’a, a Frank okazał swoje zwykłe żwawe podekscytowanie i rzekł:

– Coś mi się wydaje, że nie będzie tracił czasu na zbyt długą gonitwę za kugarem.

Jim, powolny i ostrożny Jim, upuścił talerz, wykrzykując:

– No, pewno nie!

Psy obwąchiwały przybysza ze wszystkich stron i witały go energicznymi machnięciami ogonów.

Tego wieczora kolacja, nawet jeśli piasek trzeszczał nam w zębach podczas jedzenia, była radosnym wydarzeniem. *Biscuits*¹ były puszyste i lekkie, bekon aromatyczny i chrupiący. Wyjąłem słoik jeżynowego dżemu, który to dzięki subtelnemu sprytowi udało mi się pozyskać od mormonów podczas naszej podróży przez pustynię. Został powitany oklaskami radości. Wallace, otrzepawszy ubranie z piasku, promieniał zadowoleniem wygłodniałego człowieka, który znalazł się znów w otoczeniu przyjaciół i jedzenia. Nie żałował sobie ziemniaczanego gulaszu Jima, a *biscuits* znikwały w taki sposób, że nie powstydziliby się tej sztuczki nawet jakiś hinduski magik. W moim słoiku dżemu wydrążył istny Wielki Kanion – cóż za kunszt i zręczność!

Ożywiona rozmowa toczyła się na temat psów, kugarów, koni i bizonów. Jones opowiedział o naszych przeżyciach na wielkiej równinie i podsumował paroma istotnymi spostrzeżeniami.

– Dzikie zwierzę, które zostało oswojone, staje się najniebezpieczniejszą z bestii. Mój stary przyjaciel, Dick Rock, wspaniały myśliwy i przewodnik z Idaho², śmiał się z moich rad i zabił go jeden z jego

¹ *Biscuits* (ang.) – mała pieczona bułeczka, płaska i słodka.

² *Idaho* – stan w północno-zachodniej części USA.

trzyletnich byków. Mówiłem mu, że znają go na tyle dobrze, żeby go zabić i tak też się stało. Mój przyjaciel A.H. Cole z Oxfordu, w Nebrasce¹ próbował schwycić *Weetah*², który był oswojony i byk go zabił. To samo stało się z generałem Bullem³, członkiem legislatury w Kansas⁴, kiedy to z dwoma kowbojami weszli do zagrody w nieodpowiednim momencie i chcieli związać przebywającego tam jelenia. Błagałem ich, żeby tego nie robili. Nie studiowali dzikich zwierząt tak jak ja. I ten oswojony jeleń zabił ich wszystkich. Musiał zostać zastrzelony, żeby mogli wyciągnąć jego wielkie poroże z piersi generała. Widzicie, dzikie zwierzę musi nauczyć się szacunku dla człowieka. Uczyłem niedźwiedzie z Parku Yellowstone⁵, jak okazywać szacunek i być dobrymi sąsiadami. Robiłem to w taki sposób, że wiązałem im przednie łapy, przerzucałem linę przez gałąź drzewa tak, że nie dotykały tylnymi łapami ziemi, i biłem je długim drągiem. Było to niebezpieczne i wyglądało na okrucieństwo, ale tylko taką metodą można było je nauczyć dobrego zachowania. Widzicie, te niedźwiedzie żywiły się odpadkami z hoteli i były tak oswojone, że wyniosłyby wszystko, z wyjątkiem może rozżarzonych do czerwoności kuchenek, a poza tym zabiłyby każdego, kto próbowałby je przegonić. Jednak gdy mama-miś dostanie lanie, to nie tylko do końca życia będzie dobrym niedźwiedziem, ale opowie o tym swoim niedźwiadkom, dając im przy tym klapsa dla podkreślenia powagi sprawy i nauczy je, pokolenie po pokoleniu, jak szanować spokojnych obywateli.

Jednym z najtrudniejszych zadań, jakich się podjąłem, było dostarczenie bizona do Parku Bronx⁶. Podchodziłem do wspaniałego „króla” bizona-byka, wojowniczego na tyle, żeby stawić czoło okrutowi wojennemu. Kiedy podążałem za nim, oborowi stwierdzili, że

¹ *Nebraska* – stan w środkowej części USA.

² *Weetah* (indian.) – przywódca stada.

³ Hiram C. Bull (1820-1879) – amerykański biznesmen, polityk i urzędnik wojskowy; w 1870 roku pomógł w założeniu miasta Bull City, w Kansas; służył w Izbie Reprezentantów Kansas, był republikaninem; zginął nabity na rogi jelenia, w rezerwacie dla zwierząt w Bull City.

⁴ *Kansas* – stan w środkowej części USA, na obszarze Wielkich Równin.

⁵ *Park Yellowstone* (ang. Yellowstone National Park) – najstarszy na świecie (założony w 1872 roku w USA) park narodowy o pow. 899 tys. ha.

⁶ *Bronx* – dzielnica Nowego Jorku, w północnej części miasta, położona na półwyspie między rzeką Hudson a zatoką Long Island.

już po mnie. Zrobiłem włócznię, wkręcając gwóźdź w końcówkę krótkiego drąga i zaostrzyłem go. Gdy bizon zaczął mnie gonić, odwróciłem się gwałtownie na moim koniku i wbiłem mu włócznię w kark, zadając mu ranę na długość dłoni. To przeraziło go porządnie i osłabiło wolę walki. Gnałem go pod górkę i w dół, przez kaniony, osiem mil pełnym galopem, samemu, i załadowałem go na wagon towarowy. Próbował dostać mnie raz czy dwa i tylko szybka reakcja mojego konika i włócznia ocaliły mnie.

Wszystkie bizona w Parku Yellowstone były potulne, poza olbrzymim bykiem, który przewodził stadu. Indianie nazywają bizona-przywódcę – *Weetah*, czyli władca stada. Zbliżenie się do niego z pewnością groziło śmiertelnym niebezpieczeństwem. Przywiozłem więc drugiego *Weetaha*, mając nadzieję, że zetrze na proch Potężnego Starego Manitou. Zwalili się na siebie z hukiem podobnym do zderzenia pociągów, zwarli głowami i rozorali obszar przekraczający kwadratową milę krajobrazu. Walczyli do zmroku i jeszcze dalej, do późnej nocy.

Wyskoczyłem do nich na pole ze swoim aparatem, uwieczniając tę prawdziwą walkę byków na serii zdjęć. Było to delikatne i ekscytyjące przedsięwzięcie, choć wiedziałem, że żaden z byków nie ośmielił się nawet na sekundę spuścić wzroku ze swego przeciwnika. Czuję się w miarę rozsądku bezpiecznie. Stary *Weetah* pokonał młodego czempiona tej nocy, ale rano zaczęli od nowa i nowy bizon zmusił wreszcie starego do poddania się. Od tego czasu jego duch załamał się i nawet dziecko może podejść do niego bezpiecznie, natomiast nowy *Weetah* dla odmiany sieje terror.

Żeby właściwie obchodzić się z bizonem, jeleniem czy niedźwiedziem, musisz poznać ich sposób rozumowania. Żaden nowicjusz nie poradzi sobie nawet z tymi oswojonymi zwierzętami z Yellowstone.

Dzisiaj usta starego łowcy bizonów nie zamykały się. Opowiadał wspomnienie za wspomnieniem ze swego pełnego przygód życia w prosty sposób, a jednocześnie z tak barwnymi i trzymającymi w napięciu szczegółami, że byłem oczarowany.

– Biorąc pod uwagę, jak wręcz niemożliwym jest schwywanie dorosłego bizona, jakżeś w takim razie zdobył tytuł strażnika amerykańskiego bizona? – spytał Wallace.

– Nauka tego zajęła lata, a kolejne dziesięć zajęło mi schwytywanie tych pięćdziesięciu ośmiu sztuk, które byłem w stanie utrzymać. Próbowalem wszystkiego. Schwytałem setki, przeróżnej wielkości i w różnym wieku. Nie chciały żyć w niewoli. Gdy nie udało im się znaleźć jakiejś skarpy, z której spadając łamały karki, rozbiły czaszki o głowy. Jeśli to zawiodło, po prostu kładły się na ziemi, aby umrzeć i umierały. Wyobraźcie sobie brutalną, dziką naturę, która wolą zatrzyma bicie własnego serca! Ale to prawda. Wreszcie zrozumiałem, że mogę trzymać jedynie cielaki poniżej trzeciego miesiąca życia. Schwytywanie tak młodych zwierząt wymagało jednak czasu i cierpliwości. A bizona walczą o swoje młode, a kiedy mam na myśli walkę, to znaczę aż do upadłego. Prawie zawsze musiałem iść sam, ponieważ nie mogłem ani nakłonić, ani zatrudnić nikogo, kto by się tego ze mną podjął. Czasami schwytywanie jednego cielaka trwało tygodniami. Innego dnia złapałem osiem w jeden dzień – osiem małych cielaków bizonów! Póki żyję, nigdy nie zapomnę tego dnia!

– Opowiedz nam o tym – zaproponowałem głosem osoby skorej do słuchania ogniskowych opowieści.

Czy ten milczący mieszkaniec równin kiedykolwiek opowiedział pełną wersję swoich przygód? Wątpiłem w to. Nie lubił wypowiadać się pochlebnie o sobie.

Zapadła krótka cisza. Chata była przytulna i ciepła. Żarzące się węgle migotały. Z jednego z garnków Jima wydobywała się para, świszcząc melodyjnie i wydzielając aromatyczną woń. Psy leżały zwinęte w kłębki w przytulnym rogu lub przy kominku.

Jones kontynuował opowieść o swoich sławnych wyczynach w sposób naturalny i z prostotą. Kiedy tak skromnie opowiadał, nie wdając się za bardzo w szczegóły, które dla nas brzmiały niesamowicie, pozwoliłem, aby płomień mojej wyobraźni rozniecił dla mnie cały ten trud i mozół, cierpliwość, wytrwałość, umiejętność, herkulesową siłę, fenomenalną odwagę i niezgłębioną pasję, o których nie wspomniał w swoim opowiadaniu.



Chcesz przeczytać dalszą część?

Zapraszamy do księgarni!